



Fot.: „ŚWIAT” — W. SŁAWNY

W pierwszym dniu obrad II Zjazdu PZPR wygłosił referat sprawozdawczy towarzysz Bolesław Bierut. Słów Przewodniczącego KC PZPR słuchały w skupieniu przy głośnikach miliony ludzi w całym kraju

DOMINIK HORODYŃSKI

W OSTATNIM dniu konferencji berlińskiej, godzinę zaledwie przed końcowym posiedzeniem, trzej ministrowie zachodni znaleźli czas, by odwiedzić nadburmistrza Berlina zachodniego, Schreibera, i wziąć udział w małej, ale znamiennej manifestacji politycznej. W salach ratusza znalazło się całe „doborowe” i miarodajne towarzystwo zachodnich sektorów miasta. Opaśli, hałaśliwi i ordynarni fabrykanci z cygarami w zębach, ci sami, którzy bywali tutaj przed piętnastu laty, dziś tak samo butni i pewni siebie, jak wówczas, tłoczyli się wokół Dulles, Edena i Bidault.

W ich imieniu Schreiber wygłosił jedną z serii swych mów do znudzenia stereotypowych, wulgarnie przypochlebiających się „wolnemu światu” i równie wulgarnie atakujących NRD. „Ludność Berlina chce wam podziękować, panowie ministrowie! — wołał nadburmistrz — znaleźliście słowa pełne głębokiego zrozumienia i zachęty pod adresem uciśnionej ludności w okupacyjnej strefie sowieckiej. Walka o wyzwolenie strefy weszła w stadium, w którym nie wystarczą już siły ludności berlińskiej...” — Na te beczelne słowa, podlegające chuliganów i bojówkarzy do nowej akcji typu 17 czerwca, minister Bidault odpowiedział uśmiechem pełnym zrozumienia i aprobaty. I właśnie on, minister Francji, nie wiadomo już który raz z kolei wysunięty przez Dulles, wtedy, gdy trzeba się kłaniać niemieckim odwetowcom, zabrał głos, by w imieniu swych kolegów podziękować za gościnę. Min. Bidault mówił w ten sposób nie tylko na ratuszu zachodnio-berlińskim. Przez cały czas konferencji berlińskiej zachęcał do okazywania nienawiści do NRD, wychwalał politykę adenauerską, wskazywał, że droga, po której starają się prowadzić naród niemiecki Adenauer i Kaiser, Oberlander i Schreiber — wspólnie z Kruppem i Guderianem — jest jedynie słuszną, że ma pełne poparcie Francji, że jest wyrazem wspólnej „europejskiej” koncepcji.

W nagrodę za całkowite oddanie się sprawie Adenauera F. sowano Bidault w „wyższym towarzystwie” zachodnio-berlińskim i w całej reakcyjnej prasie, kierowanej przez Bonn — ku zażenowaniu francuskich dziennikarzy — na największego europejskiego (w znalym sensie tego słowa) męża stanu, na „ministra, jakiego Francja nigdy nie miała” itp.

Można by napisać całą księżkę o przedziwnych wypowiedziach i posunięciach min. Bidault w ciągu berlińskich czterech tygodni. Niestety, księżka ta, choć miejscami niezmiernie zabawna, byłaby jednak niezmiernie smutna. Konferencja berlińska i postawione przez nią wielkie problemy polityczne — to sprawa bardzo poważna. Wszyscy wiemy, że wynik konferencji oznacza zwycięstwo zasady rokowań w życiu międzynarodowym nad zasadą rozwiązań jednostronnych i prób dyktatu, wiemy jak wielkie perspektywy pokojowego rozwiązania wszystkich zagadnień spornych nakreślone zostały przed narodami. I trudno pozbyć się uczucia smutku, że w tak doniosłych rozmowach Francja, wielkie mocarstwo europejskie, nie odegrała żadnej samodzielnej roli, nie wniosła żadnych konstruktywnych propozycji, nie była partnerem, lecz cudzym pomocnikiem. Tak właśnie muszą oceniać polityczna rolę Francji — i to właśnie w najżywniejszej dla niej sprawie niemieckiej — ci wszyscy, którzy utożsamiać będą stanowisko Francji z poczynaniami min. Bidault.

Nie należy jednak sądzić, by min. Bidault był dla politycznej woli narodu francuskiego człowiekiem miarodajnym. Grudniowe wybory prezydenta Republiki, w których na ponad 900 głosujących Bidault otrzymał zaledwie 120 głosów, były jasnym dowodem jak słaba jest jego pozycja nawet na terenie ciał ustawodawczych. W podobnie kompromitujący sposób przepadli wszyscy inni zdeklarowani zwolennicy Europejskiej Wspólnoty Obronnej, jak np. Delbos.

Dlaczego wobec opozycji parlamentu i jeszcze poważniejszego sprzeciwu kraju w stosunku do układów o armii europejskiej Bidault pozostał jednak ministrem spraw zagranicznych i miał możliwość reprezentować Francję w Berlinie? — W walce przeciwko EVG powstał we Francji w niedługim czasie szeroki i potężny front narodowy. Ale nie wolno zapominać o istniejącym froncie klasowym. Linie tych frontów nie pokrywają się z sobą. Przeciwnicy EVG, szczególnie w parlamencie, mają bardzo różne koncepcje polityczne i społeczne. W decydującym momencie, w czasie głosowania styczniowego, nie mogli się oni pogodzić między sobą i prawica zdecydowała, że Bidault otrzyma pełnomocnictwa na Berlin. Z zastrzeże-

niem jednak, że nie wolno mu się angażować w sprawę EVG. Wielu z głosujących za nim miało nadzieję, że potrafi się on zdobyć na politykę niezależną, że podejmie dwustronne rozmowy: Francja — ZSRR, że uczyni wszystko, by doprowadzić do kompromisowych rozwiązań w kwestii Niemiec i podejmie próbę uzyskania mediacji radzieckiej w Indochinach.

Tymczasem w Berlinie Bidault był konsekwentnie bardziej amerykański niż sami Amerykanie. Właśnie dlatego, że tak mało reprezentuje we Francji, że roztrwonil doszczętnie kapitał polityczny z czasów ruchu oporu, że jego stronnictwo, MRP, w miarę ześlizgiwania się w prawo, utraciło swe początkowe wpływy, Bidault starał się za wszelką cenę uzyskać poparcie wpływowych kół Waszyngtonu i Bonn. Przekroczył swe pełnomocnictwa w stosunku do EVG, które traktował jako istniejące i obowiązujące, i reprezentował wytyczne „małej Europy” w sprawie Niemiec i Austrii. By uniknąć jakichkolwiek pozorów odprężenia, ograniczył nawet kompetencję francuskiego wysłannika handlowego, Charpentiera, który w czasie konferencji bawił w Moskwie. Postępując tak konsekwentnie, Bidault równocześnie kluczył i dyplomatyzował, by zmylić opinię publiczną Francji i przedstawić, że uczynił wszystko dla osiągnięcia kompromisu. W tym celu wygłaszał przemówienia pełne sprzeczności, inaczej przedstawiał sprawę EVG wobec Niemców, inaczej wobec Francuzów, z tym, że podlegała mu prasa paryska tuszowała pierwsze akcenty, rozdmuchiwała drugie. Gdy minister Motow przedłożył najdonioślejszą z wszystkich propozycji dyskutowanych w toku konferencji w sprawie ogólnoeuropejskiego systemu zbiorowego bezpieczeństwa, Bidault postarał się, by przynajmniej część prasy francuskiej w stosunku do propozycji zastosowała konspirację milczenia, ograniczając się do negatywnych ogólników.

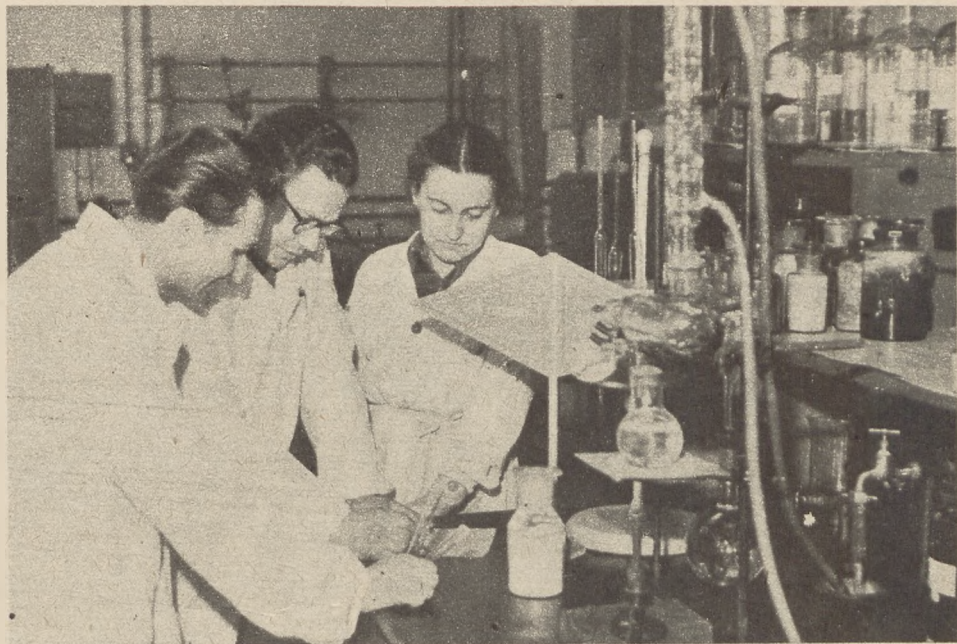
Nie ulega wątpliwości, że w tych kołach, o które zabiegał, min. Bidault odniósł pełny sukces. Panowie Blankenhorn i Greewe, berlińscy reprezentanci Adenauera, ze wzruszeniem dziękowali mu wielokrotnie, ambasador włoski z Bonn specjalnie przybył do Berlina, by wyrazić swój zachwyt.

Ale teraz, gdy konferencja się skończyła, czekają ministra francuskiego miast okłasków na ratuszu zachodnio-berlińskim, trudne pytania w Paryżu. Trzeba odpowiadać przed komisją spraw międzynarodowych Izby Deputowanych, której większość stanowią przeciwnicy EVG. Trzeba się będzie bronić przed groźbą ustąpienia ministrów gaulistowskich i nowym kryzysem rządowym. Trzeba wywiązać się z zobowiązania zaciągniętego przed Dullesem i Adenauerem i zaryzykować w najbliższym czasie próbę przyspieszenia ratyfikacji układów bońsko-paryskich. A przede wszystkim trzeba stanąć przed opinią narodu francuskiego, która o berlińskich sukcesach ministra ma inne zdanie od p. Schreibera.

Bidault, który w Berlinie grał w banque: premierostwo lub koniec kariery politycznej — przyszykował sobie na Paryż dwa chwyt. Pierwszy, który ma podnieść jego autorytet, to przedstawienie jako rzekomo osobistego sukcesu konferencji w sprawie Indochin. Drugi polega na zastąpieniu dotychczasowej wersji EVG tzw. planem zamiennym, planem, który nie zmieniając istoty układów o armii europejskiej przyspiesza ją w szaty bardziej strawne dla nacjonalistów francuskich. Plan ten wypracowany przez koła wojskowe Francji znalazł już poparcie u Adenauera, który łaskawie zgadza się pertraktować w sprawie formy EVG.

Czy ta gra może się udać, czy może oszukać opinię publiczną Francji? — Nie bawiąc się w prorocтва można powiedzieć z całą pewnością, że nawet, gdyby udało się przeprowadzić „zamienny plan” EVG przez Izbę Deputowanych, to i tak sukces Bidault byłby krótkotrwały. Amerykanie muszą zażądać wykonywania traktatów, a wtedy kryzys — który chwilowo można odłożyć — wybuchnie ze zdwojoną siłą.

NA CZĘŚĆ II ZJAZDU PARTII



Pracownicy Laboratorium Zakładów Farmaceutycznych w Starogardzie podjęli zobowiązanie dla uczczenia II Zjazdu Partii. Opracują oni do dnia 22 lipca br. metodę produkcji dotąd w kraju nie wytwarzanego leku na reumatyzm i choroby serca.

WIZYTA ZAGRANICZNYCH UCZONYCH



Przez 10 dni gościła w Polsce wycieczka muzeologów i historyków sztuki z Francji, Belgii, Szwajcarii, Danii i Szwecji. Zwiedzili oni kilka naszych muzeów i pracowni oraz wykopaliska historyczne pod Poznaniem i we Wrocławiu. Nawiązali z polskimi specjalistami osobiste kontakty, które sprzyjać będą dalszej współpracy.

FRANCJA PRZECIW WOJNIE



Mieszkańcy ulicy Św. Anastazji w III obwodzie Paryża wypowiedzieli się w 90% przeciwko układom z Bonn. — Akcja protestacyjna rozszerza się na całą Francję.

DZIŚ JEST INACZEJ

Tekst: KAMILA CHYLIŃSKA

Zdjęcia: WŁADYSŁAW SŁAWNY

UCHWYT z drutu zaczął o przewód elektryczny. ktoś szybkim ruchem zaciągnął sznur, urwał — i czerwone płótno zatrzępotało w powietrzu. Bo wtedy, w Łodzi, trzeba było rozwieszać sztandary chylkiem, podstępnie...

Dziś jest inaczej. Dziś, właśnie w tej chwili, Wiktor Wenczek siedzi w sali Zjazdowej, ustrojonej czerwienią sztandarów. Specjaliści zastanawiali się pewnie już długo przed Zjazdem, jaka dekoracja będzie najlepsza i pewnie nie szczędzili sił, ani czasu, by wypadła dobrze.

Wtedy, w Łodzi, Wenczek przynosił czerwone płótno z domu, przez żonę zaobrobione, żeby się nie wystrzępiło. Nauczył się od towarzyszy celnie przerzucać sznur przez telegraficzne przewody i zręcznie manewrować „żabką” czyli drucianym uchwytem. Umieeli wszyscy razem wypatrzyć moment taki, żeby ulica była prawie pusta. Policjantów omijali z daleka. Operację wykonywali błyskawicznie. Gdy ludzie wysypywali się z fabryk — sztandar wisiał wysoko, wiatrem tylko poruszany. Zbiegała się policja i kłęba. Trudno i darmo — nie dosięgną. Dopiero straż pożarna zdzierła nielegalną czerwień...

Dziś jest inaczej. Dziś Wiktor Wenczek, delegat na II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, siedzi w sali zjazdowej i uważnie słucha przemówień. A wtedy, na łódzkich wiecach, uwagę miał rozproszone, bo należał do ekipy chroniącej mówców. Nie wolno było czujności osłabić ani na chwilę: w Chojnach które dziś są dzielnicą Łodzi, a wtedy były niemal wsią, przemawia w święto Rewolucji Październikowej młodociany agitator. „Policja!” — ostrzega ktoś z tłumu. „Policja!” — krzyczy Wenczek do chłopca. Ten nie przerywa: „Chwała Rewolucji! Hańba szpiclom!” Policjant jest tuż — o krok. Chwyta chłopaka za kołnierz. Towarzysze zbliżają się do oprawcy, odrywają go, powalają na ziemię. W sam raz, by chłopiec zdążył uciec, a tłum zdążył się rozpieczęć.

Były lata trzydzieste. Wenczek pracował w fabryce „Union Textile”, należącej do francuskiej spółki Dessurmont Motte. Fabrykanckich interesów francuskich pilnowali jak najgorliwiej tutejsi namiesznicy. Raz po raz obrywali robotnikom premie, zwalniali z pracy dwa dni przed upływem terminu dającego prawo do urlopu, lub dzień przed upływem terminu dającego prawo do zapomogi. Zakład nie produkował zresztą pełną parą, robotników zatrudniano najwyżej przez trzy dni w tygodniu. Wenczek był już od lat kilku członkiem Komunistycznej Partii Polski. Organizacja fabryczna rzuciła hasło strajku okupacyjnego. Nie ruszali się z miejsca przeszło tydzień. Żona Wenczka z półrocznym dzieckiem na ręku przynosiła jedzenie. Fabrykanci zemścili się lokautem. Gdy przyszło do ponownego przyjmowania ludzi, kierownik Scheffler nie chciał zatrudnić Wenczka. Co dzień szedł Wenczek do kantorku — i co dzień kazano mu „zgłosić się nazajutrz”. Co dzień, przez pół roku, jadał magistracką zupkę. Kiedyś powziął decyzję. Poszedł do Schefflera i w obecności urzędników krzyknął: „Moje dzieci muszą żyć!” W krzyku Wenczka było widać coś, czego Scheffler zląkł się. Stłumił w sobie złość i jakoś spokojnie. Ruchem głowy dał znać pomocnikowi, by Wenczka przyjąć z powrotem...

Dziś jest inaczej. Dziś pokój, gdzie był niegdyś kantorek firmy „Union Textile”, jest siedzibą Podstawowej Organizacji Partyjnej Zakładów Przemysłu Włókiennego imienia generała Karola Świerczewskiego. W tym właśnie pokoju, gdzie niegdyś walczył o prawo do pracy — farbiarz Wiktor Wenczek referował towarzyszom partyjnym swój projekt ulepszenia organizacji pracy w fabryce. Chodziło o sprawniejszą koordynację między farbiarnią a suszarnią. Wenczek i koledzy wprowadzili zawsze na czas farbowali niedoprząd — cóż, skoro nie nadążała obsługa suszarek i prasowarek. Wenczek twierdził stanowczo, że przy wprowadzeniu norm ludzie pracowaliby wydajniej. Poradził się inżyniera. Normy wprowadzono. Wkrótce potem okazało się, że ludzie nie tylko dali radę, ale można było na każdej zmianie zaoszczędzić po jednym robotniku w farbiarni i zwolnić dwóch z obsługi suszarek, aby zatrudnić ich na innych odcinkach produkcji. A w klapie marynarki Wenczka pojawiła się odznaka Przodownika Pracy.

W pokoju, gdzie niegdyś komunikowano robotnikom, że fabryka jest zmuszona ograniczyć produkcję — obraduje się dzisiaj nad różnymi środkami rozszerzenia i ulepszenia produkcji. Na tej samej Konferencji Dzielnicowej, na której wybrano Wiktora Wenczka delegatem na II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — pokazano zgromadzonemu towarzyszom z łódzkiej dzielnicy Górna Prawa owoc produkcji ubocznej Zakładów imienia Świerczewskiego, uruchomionej po IX Plenum. Była to wysokogatunkowa włóczka, wyrabiana z odpadków, zwanych pierścieniami. Dodano do surowca pewną ilość angory, drogą specjalnie zastosowanych metod zdołano wyeliminować proces czesania — wąskie gardło całego przemysłu włókiennego — i uzyskano oto piękną, puszystą wełnę, doskonale się nadająca na wykwintne stroje... dla niemowląt.

Na dzisiejsze „inaczej”, na czasy dzisiejsze, w których nie ma sprzeczności między interesem fabryki a interesem robotników, Wiktor Wenczek uczciwie swym życiem zasłużył. Urodzony na wsi, z ojca nieznanego, ledwie podrośł — już musiał orać u chłopca. Potem przymusowa włóczęga za chlebem, aż na Saksy wywędrował, wrócił i znów za chlebem objechał kawał Polski. Na Pomorzu, w hrabiowskim folwarku, gdzie był murarzem i cieślą, stolarzem i rolnikiem, poznał swą obecną żonę. Postanowili szukać szczęścia w Łodzi, gdzie żona pracowała od dzieciństwa (do dziś zresztą przechowuje paszport, w którym musiała dodać sobie dwa lata, gdyż do fabryk przyjmowano „dopiero” od 10 roku życia). Udało się Wenczkowi znaleźć pracę w „Union Textile”, a żonie u Steinerta. I nadal trwała codzienna, zacięta walka o życie.

Jak walczyć o to, by nie trzeba było bać się jutra, uczyli Wenczka komuniści. Wstąpił do Partii. Sprzedawał w fabryce bloczki na „Czerwoną Pomoc”, kolportował partyjne odezwy, na przewodach elektrycznych rozwieszał sztandary, chronił mówców na robotniczych wiecach, rwał z łódzkich bruków kamienie, by ciskać nimi w atakujących policjantów, nosił na ramionach trumny ze zwłokami poległych towarzyszy. Nieraz, gdy policja otwierała szarżę na tłum, musieli rzucić trumnę na ziemię, lecz za kilka chwil podnosili ją inni, którzy przyszli po nich. Córkę swą komunistą Wiktor Wenczek wychowywał na towarzyszkę. W pierwszomajowe święto zakładała czerwony beret, szła przed szkołę, by zwoływać koleżanki, werbowała odważniejsze i prowadziła do pochodu. Mury oblepiała ulotkami, a podczas wyborów do Rady Miejskiej rozdawała numerki, agitując za listą robotniczą. Dopiero hitlerowska inwazja rozłączyła Wenczka z rodziną. Żona z młodszym synem została w Łodzi, córkę Niemcy wywieźli na roboty w okolice Szczecina, jego zaś do Hannoveru. Potem zawędrował do gór Harcu, wreszcie do Halle.

Kiedy wojska radzieckie umożliwiły mu powrót do Polski pierwszym powojennym transportem — w Łodzi było już inaczej. Uciekli oprawcy hitlerowscy i oprawcy przedwojenni: Schefflerowie, Steinertowie, Scheiblerowie. Ale koło Opoczna grasowała banda Szewczyka. Ale w Końskim bandyci rabowali sklepy spółdzielcze i mordowali Ormowców. W nocy, pod desz-



Wiktor Wenczek (z prawej), delegat z dzielnicy łódzkiej Górna Prawa na II Zjazd PZPR, w otoczeniu rodziny.

czem, komunistą Wiktor Wenczek, uzbrojony w karabin, jechał zastąpić poległych towarzyszy. Potem, podczas referendum, podczas kampanii przygotowawczej do pierwszych wyborów, zawsze stał na ormowskim posterunku. Podczas akcji skupu zboża spieszył na wieś i pomagał demaskować kulaków. Jest — jak dawniej — wiernym żołnierzem Partii. Tylko, że dziś w swojej walce z wrogiem Wiktor Wenczek ma potężnego sprzymierzeńca: Polskę Ludową.

I dlatego właśnie dziś jest inaczej. Dziś z Wiktora Wenczka dumna jest jego fabryka wykonująca i przekraczająca plany, dumna jest Rada Zakładowa, której jest członkiem. Dziś córka jego, do walki zaprawiana od dziecka, jest cenionym pracownikiem urzędu państwowego, a syn zaawansował właśnie na porucznika Wojska Polskiego. Dziś o ludziach takich jak Wenczek mówi się i pisze. Dziś na przykładzie działalności ludzi takich jak Wiktor Wenczek młodzi towarzysze uczą się bohaterstwa. Dziś życiorysy ludzi takich jak on brzmią głośno i dumnie na zebraniach i konferencjach partyjnych.

Chociaż w wypadku Wenczka niezupełnie tak było. Kiedy z Konferencji w dzielnicy Górna Prawa, gdzie wybrano go delegatem na II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wrócił do domu — zwierzył się żonie i córce:

— Jakoś tak się stremowałem, że zapomniałem powiedzieć połowę życiorysu.

Z odpadków zwanych „pierścieniami” fabryka produkuje wysokowartościową włóczkę. Od lewej: tow. Wenczek, przewodnicząca Rady Zakładowej tow. Kwiecik, dyrektor Zakładów tow. Kobus i tow. Kopacki z Rady Zakładowej



WIELKI PROLETARIAT

WYDAWNICTWO ARTYSTYCZNO GRAFICZNE
K. S. W. PRACA WARSZAWA

„Bohaterska walka „Pierwszego Proletariatu”, bohatera postać Ludwika Waryńskiego, pierwszego wielkiego przywódcy polskiej klasy robotniczej, stoją u kolebki klasowego ruchu proletariackiego w Polsce i przyświecają jako wzór najlepszym bojownikom robotniczym następnych pokoleń”. — Te słowa zaczerpnięte z Deklaracji Ideowej PZPR widnieją jako motto wydanego ostatnio albumu, poświęconego Waryńskiemu i proletariackim.

Album zawiera 33 plansze z rysunkami współczesnych artystów polskich, ilustrującymi bohaterskie dzieje pierwszej organizacji proletariatu polskiego.

Reprodukujemy obok kilka rysunków z tego pięknie wydanego albumu.



rys. Leonia Janecka

Manifestacja bezrobotnych na Placu Zamkowym. Pierwsza demonstracja robotnicza na ulicach Warszawy

WIELKI PROLETARIAT



rys. Stefan Samborski

ODEZWA „PROLETARIATU” — „CHCĄ WALKI, BĘDĄ JĄ MIELI”



K. Marks i W. Wróblewski na obchodzie w Londynie rocznicy powstania styczniowego

rys. Ignacy Witk



W dzielnicy robotniczej

rys. Maria Hiszpańska



Na procesie krakowskim (1880 r.)

rys. Janusz Strzalecki



Strajk robotników śląskich w kopalni „Königin Louise” w Zabrze

rys. Stanisław Poznański

SWIAT

NASZA KRONIKA

WARSZAWA zebrała nas po raz drugi. Myślimy o tym zebraniu, o którym myślał Feliks Dzierżyński, gdy z więzienia pisał do siostry w marcu 1915 roku: „Sądzę, że Warszawa, która wszystkich nas pociąga ku sobie, zbierze nas razem w innych warunkach, w innym życiu. Gdy myślę o tym, co się teraz dzieje — o powszechnym niby rozbiściu wszelkich nadziei — dochodzę do pewnika, że życie zakwitnie tym prędzej i silniej, im silniejsze dziś jest rozbiście”.

Przed pięcioma laty, w grudniu roku 1948, zebrała Warszawa delegatów na pierwszy Zjazd Partii, przewyżający rozbiście. Zebrała, jak i teraz, nie tylko delegatów, ale uczucia i myśli całej polskiej klasy robotniczej, pracujących chłopów, pracującej inteligencji, wszystkiego co w narodzie dobre i czyste. Dziś znów myśli i uczucia całego narodu skierowały się ku tej sali, z której Partia mówi do wszystkich Polaków — do partyjnych i bezpartyjnych.

Zjazd Partii, słowa Partii, głoszone przez Bolesława Bierut, wprowadzają nas w wielki świat idei, którego nieraz nie dostrzegamy, zapatrzeni w problemy i trudy dnia codziennego. Na mapie historii wieku XX pokazuje nam Partia nasze miejsce w świecie, pokazuje drogę naszego rozwoju, każe myśleć o nas, o narodzie naszym w kategoriach świata i historii. Świat i dziejąca się historia mają wielki, decydujący wpływ na nasze losy i odwrotnie — my mamy wpływ na świat i historię.

ROZUMIENIA naszych spraw w związku z szerokimi zagadnieniami — uczy nas Partia. Sojusz robotniczo-chłopski to zagadnienie każdej wsi, każdej komórki naszego życia w mieście. Ale to nie tylko nasze zagadnienie. Sprawa, jak ten sojusz jest rozumiany, realizowany i rozwijany w tej czy innej polskiej Wólce — to ważna sprawa dla układu stosunków między niejednym chłopem i robotnikiem na dalekich rozłogach świata, między niejednym chłopem i robotnikiem walczącym jeszcze z przemocą imperializmu, nieraz z bronią w ręku, jak na przykład w dżunglach dalekiego Wietnamu. Bojownicy Wietnamu, bojownicy krajów kolonialnych i zależnych, bojownicy krajów kapitalistycznych patrzą na nasz sojusz robotniczo-chłopski, na tę jakże ważną dźwignię walki o przyszłość narodów.

Jeśli imperialiści i ich agenci starają się sojusz ten podważyć, to dlatego, że nie ma takiej siły, która by oprzeć się mogła zjednoczonym siłom robotników i pracujących chłopów, zarówno wówczas gdy budują one, jak w Polsce, socjalizm, czy też jeszcze dopiero walczą o wyzwolenie przeciwko imperializmowi.

Podobnie ze sprawą podniesienia stopy życiowej. Chodzi nie tylko o nasze lepsze życie, które niesie socjalizm. Chodzi o to, że nasze lepsze życie potwierdza wobec ludzi całego świata siłę socjalizmu, porywa innych do walki o socjalizm. Sojusz robotniczo-chłopski i podniesienie stopy życiowej w Polsce — to wszystko ma znaczenie zarówno dla Polski jak i znaczenie międzynarodowe.

Nie tylko jako przykład, ale także i jako wzmocnienie, dalszy rozwój sił Polski, a więc tym samym obozu pokoju. W prosty, gdy nad tym się zastanowić, sposób (gdy iść za myślą Partii łatwo to pojąć) — sprawa, życie, czyny każdego z nas związane są ze sprawami milionów ludzi. Każdy z nas w pewien sposób jest twórcą historii. Partia chce, by każdy z nas jako budowniczy, obywatel, bojownik pokoju i socjalizmu był dobrym bojownikiem o dobro swojej Ojczyzny i dobrym, to znaczy świadomym twórcą historii.

DRUGI ZJAZD PZPR od pierwszych słów, które na nim padły, po słowa ostatnie uczy wielkiej prawdy naszej epoki: kapitalizm chciał nas — naród polski, nas — całą ludzkość mieć jako przedmiot dziejów, jako niewolników i mierzwę historii. Socjalizm daje nam wielką szansę stania się twórcami historii, daje nam — ludzom, to, co najbardziej ludzkie: własne sprawy i własne dzieje we własne ręce.

Dzieło to wielkie i trudne. To Partia prowadzi nas do tych zadań. To Partia uświadamia nam tę naszą rolę, rolę, jakiej ludzie jeszcze w takiej masie, w skali całych narodów jeszcze nie spełniali.

Te nowe dzieje znaczą się pięknymi i najcenniejszymi sprawami. Jakże bliskie i ludzkie sprawy brzmiały w sprawozdaniu Komitetu Centralnego, złożonym przez Bolesława Bierut. Pokój, przyjaźń, solidarność narodów, dobrobyt i bezpieczeństwo międzynarodowe — to były słowa, które mówił najczęściej Bolesław Bierut, gdy mówił o jakże ważnej sprawie związku naszego narodu ze światem, z innymi narodami.

W tym wszystkim tkwi poczucie siły, biorącej się z własnych, wielkich, narodowych dokonań i ze ścisłego związku naszego z ZSRR. „Jesteśmy silni siłą tego sojuszu” — powiedział Bolesław Bierut. Jesteśmy silni siłą pierwszego państwa socjalistycznego, które potrafiło rozgromić faszyzm, dać nam wolność i skutecznie chronić pokój przed jego zaciętkami, ale coraz bardziej tracącymi moc wrogami.

Czy słuszną kroczymy drogą? Na to pytanie Zjazd daje Partii i narodowi odpowiedź. Wielka to chwila, gdy cały naród wraz ze swoją przodującą mu Partią zdaje sobie z tego sprawę. A w każdej wsi polskiej, w każdej osadzie, w każdym mieście i miasteczku znajdziemy potwierdzenie dla słów Partii, że idziemy drogą słuszną. Rzeczy jasne, widoczne i niewątpliwie stanowią wspaniałą ilustrację dla słów Partii.

Zjazd obraduje w Warszawie, ale trwa w całej Polsce. Wszędzie, gdzie jesteście Polaku, znajdziecie prawdę Partii, w małych i wielkich dokonaniach, w budowach i w maszynach, a nade wszystko w mózgach i sercach ludzkich.

Słuchamy w całej Polsce pilnie słów Zjazdu. Wyjaśniają nam one nasze własne myśli. Rośnie w nas wielkie, coraz większe zrozumienie roli Partii. Partia — to w naszym życiu to, co najważniejsze, najcenniejsze. To jest prawda. Partia to prawda.

JAN SZELAĞ

14 TOMÓW OSKARŻENIA

Korespondencja własna „Świata” z Włoch

TEKST: TOMMASO CHIARETTI

ZDJĘCIA: FRANCO PINNA



Oblakana analfabetka z prowincji Matera. W Południowych Włoszech na każdym kroku spotyka się bezdomnych starców, żyjących wyłącznie z jałmużny.

ZANIM nastąpiła tragedia w Massumeli, niektórzy Włosi mogli się jeszcze łudzić, że po ostatnim przesileniu rządowym coś się zmieni na lepsze. Dzienniki chadeckie pisały nawet, że „nędza włoskiego ludu należy do przeszłości”.

A oto jak wygląda rzeczywistość.

W tym samym czasie, gdy oślawiony Scelba przystąpił do tworzenia nowego rządu, na Sycylii, w małym miasteczku Massumeli, zgromadzili się pewnego dnia na rynku wszyscy mieszkańcy, aby zaprotestować przeciwko wprowadzeniu opłat za wodę, pobieraną z publicznej studni na rynku.

Miejscowość Badolato zniszczona jest prawie całkowicie przez powódź, która nawiedziła niedawno te tereny. Inżynierowie twierdzą, że można było uniknąć tej klęski przeprowadzając zabezpieczające roboty ziemne



Chadecki burmistrz wydał policjantom rozkaz rozpędzenia demonstracji. Na ludność miasteczka, cierpiącego na stały niedostatek wody, posypały się razy i bomby łzawiące. Ogarnięty paniką tłum rzucił się do ucieczki, szukając schronienia w ciasnych uliczkach miasta. Podczas tego zamieszania poniosły śmierć trzy kobiety i szesnastoletni chłopiec.

Wypadek ten we właściwy sposób odzwierciedla stosunki panujące w dzisiejszych Włoszech. Jest on tak przerażający, że można by go uznać za wydarzenie wyjątkowe, gdyby tego stanu rzeczy nie potwierdzały... wiadomości oficjalne o nędzy ludu włoskiego. Mam na myśli czternaście grubych tomów sprawozdania włoskiej komisji parlamentarnej, która w ostatnim okresie przeprowadziła w całym kraju badania nad warunkami życia ludności.

Komisja składała się z członków parlamentu, przez tenże parlament wybranych spośród przedstawicieli różnych partii politycznych. Na jej czele stanął Ezio Vigorelli, działacz partii socjaldemokratycznej, która przez długie lata dzieliła rządy z chadecją i jest współodpowiedzialna za stosunki ekonomiczne i polityczne w kraju. Dlatego też nie można owej komisji podejrzewać o jakąkolwiek skłonność do przejawiania faktów. A mimo to fakty, zanotowane w czternastu tomach sprawozdania, są wstrząsające.

„Opinia publiczna — czytamy w sprawozdaniu — nie zdaje sobie zupełnie sprawy z nędzy ludności... W wielkich miastach zamożni obywatele nie widzą straszliwej nędzy, jakkolwiek ocierają się o nią na każdym kroku. Rzymianie, na przykład, mieszkający w dzielnicy Parioli (jedna z najbogatszych dzielnic) nie wiedzą i nie myślą o tym, że w odległości kilku kroków od ich domostw inni rzymianie żyją w grotach i lepiankach, które są hańbą naszej stolicy”.

Niezwykle wymowne są cyfry przytoczone w dalszym ciągu sprawozdania. Ankieta wykazała, że we Włoszech „232 000 rodzin mieszka w piwnicach, na strychach i w składach, 92 000 rodzin — w barakach i grotach. Ogółem 22% ludności nie ma odpowiednich mieszkań”.

A teraz problem żywienia. Komisja ograniczyła się do badania spożycia trzech podstawowych artykułów: mięsa, cukru i wina. Okazało się, że 869.000 rodzin w ogóle nie spożywa tych artykułów, zaś 1.032.000 rodzin — tylko w minimalnych ilościach.

Te ogólne dane nabierają bardziej jeszcze wyrazistych barw, gdy rozważa się konkretną sytuację bytowania ludzi określonego rejonu. Oto dla przykładu weźmy Rzym: w dzielnicach robotniczych przeciętny dochód jednej osoby wynosi poniżej 6 000 lirów miesięcznie — podczas gdy kilo mięsa kosztuje 1 200 lirów, a kilo chleba 120 lirów!

W innych miastach sprawa wygląda jeszcze gorzej. W Neapolu przeciętny dochód waha się między 2 000 a 5 000 lirów. Na Sycylii zaś nędza wyraża się liczbą zgonów: śmiertelność dzieci robotników rolnych jest tam cztery razy większa, niż dzieci sfer zamożnych.

Można by jeszcze wiele wymownych cyfr zacytować z owego sprawozdania: warto jednak zaznaczyć, że nawet one nie oddają całej prawdy; liczne bowiem fakty z całą pewnością zostały zatajone przed opinią publiczną. Ale też trzeba przyznać, że komisja parlamentarna nie ograniczyła się tylko do zanotowania pewnych zjawisk, lecz także zastanawiała się nad ich przyczynami. Stwierdziła ona, że źródłem nędzy ludu włoskiego jest bezrobocie oraz niezwykle niskie zarobki.

„Badania przeprowadzone przez Komisję — czytamy w jednym z dokumentów — wykazały, że większość robotników najemnych na Południu pracuje tylko dorywczo — są bowiem zatrudnieni tylko przez 78 dni w roku; ta cyfra przeciętna ulega jeszcze zmniejszeniu do 43 dni w niektórych rejonach Campanii i do 73 dni na Sycylii. Zarobek dzienny mężczyzn wynosi przy tym 651 lirów, a kobiet — 474 liry”.

Tak wygląda sedno zagadnienia. Trzeba tylko dodać, że komisja pominęła w swym sprawozdaniu wiele innych faktów. Nie wspomniała, że robotnicy włoscy, wyzyskiwani do ostateczności, świadomi są swoich praw i że wyczerpuje się ich cierpliwość w oczekiwaniu na reformy, które nie następują. Ze robotnicy najemni w Południowych Włoszech coraz częściej demonstrują przeciwko bezrobociu i wyzyskowi. Ze — wreszcie — coraz więcej wyzyskiwanych wstępuje w szeregi Partii Komunistycznej i postępowych organizacji związkowych. Nie pragną oni jałmużny, ale domagają się swoich praw i o te święte prawa do życia — będą walczyć.



Grupa dzieci z Colobrarro w Lukanii. Śmiertelność dzieci robotniczych i chłopskich — według danych komisji parlamentarnych — jest w Południowych Włoszech czterokrotnie wyższa niż wśród dzieci sfer zamożnych. Wysoka liczba zgonów dzieci jest tragicznym dowodem nędzy, w jakiej żyją miliony robotników i chłopów



Bagnara — miasteczko rybackie w Calabrii. Bezpośrednio do murów kościoła przylegają rudery rybaków



W Lukanii sezonowi robotnicy rolni bardzo często mieszkają w jednej izbie z końmi, bydłem i trzodą

W sprawozdaniu swoim włoska komisja parlamentarna pominęła milczeniem fakt, że masy wyzyskiwane coraz częściej występują do walki z kapitalizmem. Nie pragną one jałmużny, ale żądają realizacji należnych im praw



FRANCIS
CREMIEUX

KORRESPONDENCJA
WŁASNA
„ŚWIATA”
Z PARYŻA



Francja 1940—1944... Pod salwami hitlerowskich plutonów egzekucyjnych padają francuscy patrioci. Tysiące innych giną w obozach śmierci. Tak jedni jak i drudzy umierają z rozkazu generała SS Oberg...

ODROZONY PROCES

GENERAŁ SS Oberg i jego adiutant Knochen stanęli przed francuskim trybunałem wojskowym w więzieniu Cherche Midi dopiero w dziesięć lat po ich aresztowaniu. A przecież obaj ci zbrodniarze mają na sumieniu śmierć dziesiątków tysięcy francuskich więźniów, których zesłali do obozów koncentracyjnych. Do roku 1942 Oberg — dowódca oddziałów SS i policji w Radomiu — pastwił się nad ludnością polską. Od roku 1942 aż do chwili wyzwolenia kierował hitlerowskim terrorem we Francji, gdzie bardzo szybko zasłużył sobie na miano kata Paryża. Jego adiutant Knochen był we Francji kierownikiem hitlerowskiej policji (SD).

Zredagowany w języku francuskim akt oskarżenia liczył 240 stron i odczytywanie go zajęło pierwsze i drugie posiedzenie sądu. Później obrońcy Oberg i Knochen wystąpili z żądaniem odroczenia procesu. Motywy tego żądania? To, że akt oskarżenia „nie został doręczony obwinionym na trzy tygodnie przed procesem”. Trybunał wniosek odrzucił.

„Oberg i Knochen nie są jeńcami wojennymi, aresztowano ich jako osoby cywilne, nie dotyczy ich Konwencja Genewska”.

Przewodniczący zwrócił się też do tłumacza oskarżeń:

„Proszę wyjaśnić oskarżonemu Obergowi, że trybunał odrzucił wnioski obrońców w sprawie zastosowania wobec niego Konwencji Genewskiej, gdyż nie jest on jeńcem wojennym, ale zbrodniarzem wojennym”.

Tłumacz przetłumaczył, Oberg uśmiechnął się, a adwokaci generała SS mieli okazję stwierdzić co następuje:

„Przewodniczący trybunału skonstatował, że Oberg jest zbrodniarzem wojennym. Ale aż do chwili ostatecznego wyroku nikt tak twierdzić nie może. Oznaczałoby to bowiem przesądzanie wyroku, jaki zapisać powinien dopiero po zamknięciu przewodu sądowego”.

Dialog ten oznaczał w praktyce odroczenie o cztery miesiące procesu jednego z najkrwawszych siepaczy hitlerowskich we Francji. Oficjalnie wchodziły w grę względy natury prawniczej. Były jednak i względy o wiele bardziej istotne.

Na kilka dni przed rozpoczęciem procesu odwetowy dziennik adenauerowski „General Anzeiger” stwierdzał niedwuznacznie: „Przywódcy polityczni Francji i Niemiec zachodnich powinni starać się o ograniczenie katastrofalnego oddziaływania procesu Oberg na opinię publiczną... Proces Oberg w okresie debaty nad „europejską wspólnotą obronną” byłby dla przeciwników „wspólnoty europejskiej” znakomitym argumentem”.

Odroczenie procesu było jednak dla zwolenników nowego Wehrmachtu katastrofą — o wiele mniejszą. Oburzenie opinii publicznej było jednomyślne. Społeczeństwo francuskie wyraziło zdecydowany protest przeciw tuszowaniu sprawy człowieka, który ponosi odpowiedzialność za śmierć i męczeństwo tysięcy patriotów. Na nową mobilizację militarystów i oprawców naród francuski odpowiada jeszcze powszechniejszą mobilizacją sił pokoju, walczących przeciwko uzbrajaniu odwetowców Adenauera.



Paryż 1954. Generał SS Oberg uśmiecha się na sali sądowej. Przed chwilą usłyszał wiadomość o odroczeniu procesu...



Ludzie, którzy dziś zabierają głos na szpaltach naszego działu, czytali Tezy na II Zjazd Partii nie tylko w gazecie. Odczytali je — podobnie jak tysiące innych obywateli — z tabliczki nowej linii autobusowej, z listy lokatorów bloku, w którym otrzymali nowe mieszkanie, z cennika narzędzi rolniczych, z pokwitowań za przeprowadzone remonty. Odczytali je bez zdziwienia — wiedzą, że Partia rozmawia z narodem w języku, w którym za słowami idą zawsze fakty.

Nr 11

8-14 marca 1954

ZOFIA ZOŁOTAJKIN

zajmuje się gospodarstwem domowym

NAPRAWILI DACH I PODŁOGI



PAWEŁ WRONA

górnik kopalni „Bolesław Śmiały”

ZBUDOWAŁEM SOBIE DOMEK

— W roku 1969 spłacę ostatnią ratę — 180 złotych — za wybudowany w roku bieżącym indywidualny domek rodzinny. Jako pierwszy z górników naszej kopalni rozpocząłem budowę. Pomagali mi wszyscy: towarzysze z kopalni, sąsiedzi i rodzina. Oboje z żoną nieraz przez długie godziny pracowaliśmy przy stawianiu domu. Było prędzej, było wreszcie żyć w nowym, własnym mieszkaniu. Córki będą miały osobne pokoje. Będą mogły spokojnie odrabiać lekcje, czytać i wypoczywać. Raduję się z żoną, kiedy patrzę na ukończony już murywany dom. Jak tylko jeszcze

trochę przeschwie, to zaraz się wprowadzimy. Myślę, że na Wielkanoc będziemy tu mieszkać.

Na parterze mamy dwa słoneczne pokoje, obszerną kuchnię i łazienkę, a na piętrze dalsze dwa pokoje i strych. Jest jeszcze dużo do zrobienia. Mebli na całe mieszkanie nie mamy. A trzeba przecież to wszystko jakoś urządzić. Są tylko meble z dawnego pokoju.

Chciałbym mieć jeden pokój wyłącznie dla siebie. Nieraz człowiek, jak wróci z kopalni, chce poczytać, czy coś napisać. Człowiek z radością będzie wracał z pracy do domu.

— Mąż mój jest urzędnikiem w Ministerstwie Rolnictwa. Półtora roku temu dostałem mieszkanie w nowym bloku, na Żytnej 31/33. Kiedy się sprowadziłem, woda przeciekała nieszczelnym dachem, nawet ściekała ze ścian. W podłodze, po roku mieszkania, zrobiły się szpary na szerokość palca. W listopadzie zeszłego roku poprawili dach i rynny. Potem na interwencję komitetu blokowego przedsiębiorstwo prowadzące budowę bloku kazało zerwać całe podłogi w pokojach i w kuchni i położyć jeszcze raz nowe. Doczekałam się w ten sposób usunięcia usterek. Ale jeszcze o jednym zapomnieli: aczkolwiek doprowadzili nasze podwórko do porządku, położyli chodniki, zasadzili nawet drzewa i zasiali trawę — kosze od śmieci w dalszym ciągu nie mają pomieszczenia.

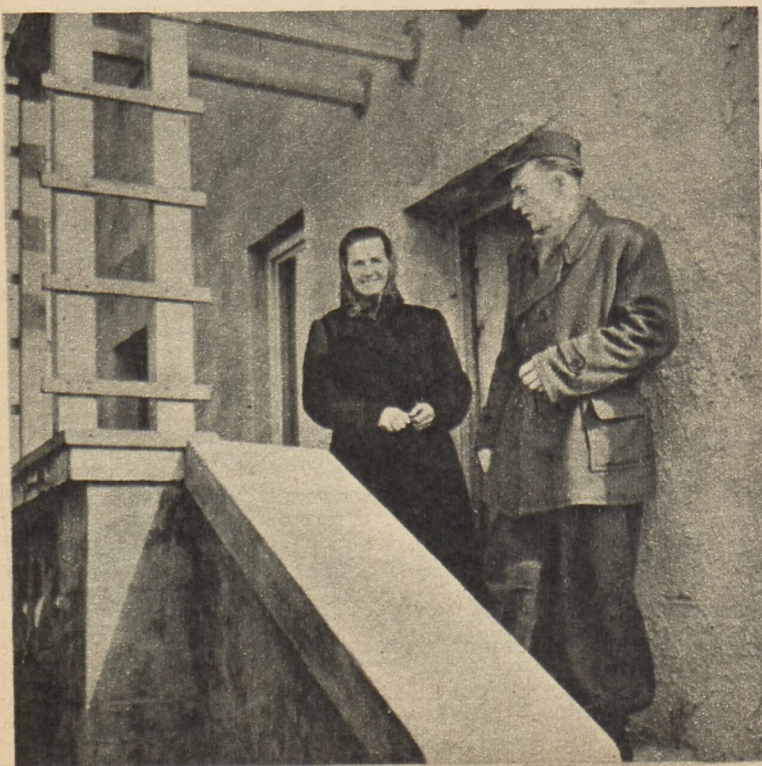
STEFAN KASPROWICZ

czeladnik kowalski Warszawskich Hut Szkła

MAM CZAS NA ROZRYWKI

— Mieszkam w Miedzeszynie nad Wisłą, pracuję w Falenicy. Jeszcze trzy miesiące temu chodziłem do pracy pieszo. Pięć kilometrów do Falenicy i drugie pięć z powrotem. Na jesieni puścili autobusy do Falenicy, te same, co dawniej chodziły tylko do osiedla Las. Teraz skończyło się moje wstawanie o świcie i ciągłe obawy, że nie zdążę do pracy. Mój ojciec też pracuje w Falenicy, ale nie w Warszawskich Hutach Szkła, tylko w tartaku. Przedtem, kiedy jeszcze nie chodziły autobusy MPA, było mu bardzo ciężko tak stale chodzić na piechotę do pracy i z powrotem.

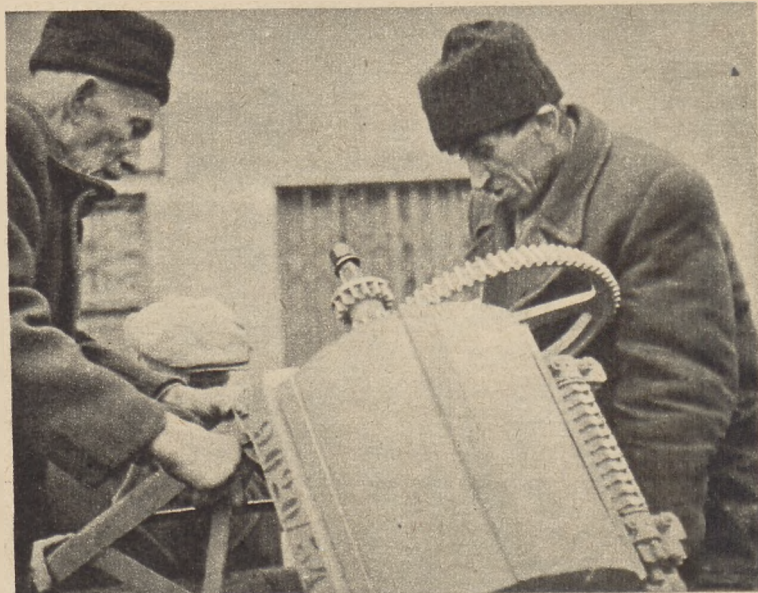
Tak, to jest duża różnica. Przedtem musiałem wstawać o 5 rano, a teraz wstaję o 6. Po pracy byłem w domu o 5 po południu, a teraz jestem o 4. Czasu mam więcej na rozrywki. A ja, na przykład, bardzo lubię chodzić do kina.



STANISŁAW LELEK

podsołtys gromady Krzęcin, pow. Skawina

SIECZKARNIĘ POŻYCZĘ SĄSIADOM



— W Gminnej Spółdzielni w Skawinie kupiłem właśnie za 1.096 złotych sieczkarnię. Ten zakup planowałem sobie dość dawno.

Znam dobrze swoją wieś i żyję jej troskami i radościami. Do Krzęcina zbyt rzadko przyjeżdża kino. W styczniu wyświetlano chiński film „Dziewczyna o siwych włosach”. Bardzo się wszystkim podobał. Jednak dobrze by było, gdyby wieś otrzymywała więcej filmów gospodarczych, pokazujących nowoczesne metody uprawy roli. Bo, widzicie, my chcemy naszą gospodarkę podnieść na jak najwyższy poziom. Chcemy mieć wzorowe gospodarstwa. Czasami przyjeżdżają do nas z odczytami fachowcy z doświadczonego instytutu krakowskiego. Chętnie na te odczyty chodzimy.

Z początku część naszych gospodarzy nie była przekonana do nowego ustroju. Ale, jak potem na własne oczy widzieli, jakie dokonują się zmiany, że w naszej wsi nie ma już lamp naftowych tylko w każdym mieszkaniu pali się jasne światło elektryczne, że w ogóle na wsi coraz lepiej, zaczęli przekonywać się, że dopiero teraz dla chłopca może być dobre, wolne

życie. I rozumieją też coraz lepiej, że, aby się nam dobrze powodziło, to zależy to od nas samych: czy będziemy racjonalnie uprawiać rolę, czy rozwinie my naszą hodowlę, czy będziemy używać maszyn.

My, członkowie partii, często rozmawiamy z naszymi sąsiadami i tłumaczymy im, do czego prowadzi nas nasza partia i rząd ludowy, co daje wszystkim sojusz robotnika i chłopca.

Teraz to już w naszej wsi mało kto zalega z odstawami dla państwa. Chłopi nie odmawiają robót społecznych. Dla uczczenia II Zjazdu Partii wieś postanowiła wybudować jeden kilometr drogi.

Mamy też trochę kłopotów. Nie całkiem u nas dobrze z zaopatrzeniem sklepów. Za mało jest perkali, flaneli, płótna pościelowego, firanek.

Jeśli o mnie chodzi, to gospodaruję na 4,5 hektarach. Moje budynki gospodarskie są już stare i muszę wybudować sobie nowe — murowane. Stopniowo dokupuję nowe narzędzia i maszyny rolnicze. Ostatnio właśnie kupiłem sieczkarnię. Jak ktoś z sąsiadów będzie jej potrzebował, to mu pożyczę.



MAM WŁASNY SAMOCHÓD



— Byłem właśnie w Mysłowicach swoją „Ifą”. Chciałem kupić 13-letniemu synowi, Romanowi — akordeon. Były tam dwa: jeden większy, drugi mniejszy, nie mogłem się zdecydować. Muszę poradzić się żony. Roman to chłopak zdolny, muzykalny — czemu więc nie ma się uczyć grać.

— Pracuję w kopalni jako rębacz na chodniku. Przeciętnie wyrabiam 250% normy. Dla uczczenia II Zjazdu Partii zobowiązałem się zwiększyć swoją wydajność. Już w styczniu osiągnąłem 320%.

— Nie mam jeszcze garażu. Samochód mój stoi więc tymczasem na terenie kopalni.

— Na przyszłą niedzielę wybieramy się do ojców do Rybnika. Wypadnie mi przed wyjazdem wyczyścić samochód „na glanc”, bo będą go wszyscy przecież oglądali. Muszę też pojechać jeszcze do Motoszytu, żeby zobaczyli, dlaczego sygnał niedobrze działa. Na ostatnim spacerze majstrował przy nim Leon. Pewnie coś znowu synek zmajstrował.

— Przed wojną, kiedy mieszkaliśmy w jednej izbie i mieliśmy tylko jedno łóżko, stół i szafę, to nieraz mówiłem, że chciałbym nareszcie po ludzku mieszkać. Długo na to czekaliśmy, bo w tamtych czasach było to niemożliwe. Doczekaliśmy się tego dzisiaj. Mieszkamy w dużym samodzielnym domku fińskim. Jest sucho i mamy dużo słońca.

WŁADYSŁAW TOMASZEWSKI

ślusarz zakładów mechanicznych Gazowni Warszawskiej

WYKONAŁEM SVOJE ZOBOWIĄZANIE

— Ostatnio pracuję przy budowie koryt koksowych do wyciążu koksu w piecowni. Kiedy po IX Plenum towarzysze i koledzy podejmowali zobowiązania na część II Zjazdu Partii, ja też

przyłączyłem się do tego: zobowiązałem się skrócić czas budowy jedenastu koryt koksowych z czterech miesięcy do trzech. A jak dobrze przemyślałem moją robotę — to nawet nie było

takie trudne. Opracowałem po prostu inny system pracy: z nitowania belek żelaznych przeszedłem na ich spawanie. Oszczędność na czasie jest dzięki temu duża, wynosi przy tych jedenastu korytach koksowych 200 godzin, a może i więcej.

— Zobowiązanie wykonałem już 2 marca — na 3 dni przed terminem. Dzięki zobowiązaniu nie tylko skróciłem czas budowy, ale także zarobki moje wzrosły w ciągu trzech miesięcy o 700 złotych.



LEOKADIA PARZYSZEK

zajmuje się gospodarstwem domowym

SKLEP SPOŻYWCZY JEST TERAZ BLIŻEJ

— Mieszkamy w Wiśniewie pod Warszawą, na Wiklinowej pod nr 3. Mąż mój pracuje w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, córka w Fa-

bryce im. Świerczewskiego na Woli, syn jest kierowcą Miejskiego Przedsiębiorstwa Autobusowego, a synowa też pracuje — jest urzędniczką. Ja gospo-

darzę rodzinie: gotuję posiłki i sprzątam.

— Jak się wszyscy zejdą z pracy, muszą zaraz dostać obiad. Dlatego dla mnie sklep „pod ręką” — to wielka wygoda. A jeszcze do niedawna musiałam nawet chleb przynosić z ulicy Srebrnogórskiej, albo z Piekietka. A jak to daleko! Do sklepu na Srebrnogórską będzie dobry kilometr, a do Piekietka jeszcze dalej. Nieraz mąż przywoził chleb z Pragi, albo z Żerania. Dopiero dwa miesiące temu założyli nam sklep WSS na Sobieskiego 23. Teraz sklep mam już blisko i mogę kupować pieczywo, mleko i inne artykuły bez żadnych trudności, a najważniejsze że bez tłoku. Tylko, że w sklepie brak jest jeszcze niektórych artykułów: śledzi, oleju i innych.



W. PRAŻUCH
Zdjęcia:
Z. MAŁEK



STANISŁAW WILTOS

strugacz metalowy hutę im. Lenina

OTRZYMAŁEM MIESZKANIE

— Lubię czytać naszą gazetę „Budujemy Socjalizm”. Daje ona dużo krytyki i tym nam pomaga ulepszyć pracę, podnieść wydajność. Dobrze informuje o wszystkim, co się dzieje w naszej hucie im. Lenina i w naszym mieście. Wszystko mnie tu bardzo interesuje. Mimo że w Nowej Hucie mieszkam dopiero od kilku miesięcy, bardzo się z tym miastem zżyłem.

— Dostałem w styczniu 2-pokojowe piękne mieszkanie, sprowadziłem żonę i dzieci. Bardzo mi było źle, kiedy byłem tu sam. Musiałem o wszystkim myśleć i nie miałem czasu na kino, ani na poczytanie książki. Teraz, kiedy mam dom, mogę sobie swoje zajęcia poza pracą lepiej rozłożyć. W najbliższych dniach zapiszę się do biblioteki. Chcę czytać, bo bez książki źle. Dobra książka pomoże w pracy, niejednego nauczy, lub zajmie ciekawą opowieścią. Dobrze by też było, gdyby zorganizowali tu jakieś kursy pływackie. Na takich kursach można by się na-

uczyć poprawnych stylów i może stanąłbym do zawodów. Kto wie? Co prawda, mówią, że mam to za stare. Ale przecież 38 lat to wcale nie tak wiele, prawda? Chcę również nauczyć się grać w szachy. To bardzo ciekawa gra i od dawna się nią interesowałem, tylko że nigdy nie miałem okazji gruntownie jej poznać. Myślę, że jak urządzimy sobie całkowicie mieszkanie, to na wszystko znajdzie się czas. I do świetlicy będę częściej chodził i z kulturalnych rozrywek po pracy korzystał. W tej chwili jeszcze nie wszystko jest tak, jak być powinno. Musimy w pierwszym rzędzie kupić sobie porządne meble i radio. Po trochu na wszystko sobie uzbieram. Robię przeszło 200% normy i nieźle zarabiam.

— Na lato postanowiliśmy pojechać z żoną na wczasy nad morze. Obecnie nie widzieliśmy jeszcze morza. Chcielibyśmy też zobaczyć jeziora mazurskie. Tyle się już o nich słyszało. Chyba strasznie przyjemne muszą być wczasy wędrownie na jeziorach.

POLAK, który po raz pierwszy w życiu przybędzie do Pragi — nie tylko, że nie czuje się obco w tym mieście, ale ma nawet wrażenie, że jest w gościnie u starego znajomego. Wędrując po mieście odnajduje bez trudu szlak, którym jechał Juliusz Fuczik w swą ostatnią drogę, po której zostawił nam nieśmiertelny „Reportaż spod szubienicy”; odnajduje ulicę, na której w pochodzie majowym Anna Proletariuszka powiedziała swemu mężowi, iż czuje budzące się w niej nowe życie. Tu rozgrywa się „Opowiadania ze starej Pragi” Jana Nerudy, a przecież to tędy dzielny wojak Szwejk odwoził do domu pijanego kapelana polowego Otto Katza — tu znowu, w jednej z nor, które otaczały niegdyś Rynek Warzywny, „szalejący reporter”, Egon Erwin Kisch, spotkał dziewczynę, której tragiczne dzieje opisał we „Wniebowstąpieniu Szubienicznej Toni”.

118 ZEGARÓW

Warto jest wdrapać się na którąś z wież miasta, zwanego przecież „Stuwieżową Pragą”. Najlepiej wybrać się na obchód z konserwatorem praskich zegarów — człowiekiem, który odpowiada za sprawne funkcjonowanie 50 zegarów wieżowych i 68 ulicznych. Człowiek ten codziennie przemierza ze swą małą walizką z narzędziami kilkadziesiąt pięter, aby czuć nad mechanizmami, wyliczającymi czas od stuleci. Po stromych schodkach, piosząc ptaki gnieźdzące się na wieżach, „zegarmistrz miasta Pragi” śpieszy regularnie w odwiedziny do swych zegarów. A niemalże każdy z nich ma odmienny mechanizm!

Człowiek ten, rozmiłowany w swym zawodzie, opowie wam, że już w roku 1354 zegar wybił godzinę na Zamku Praskim i że ów pierwszy praski zegarmistrz, którego dzieło sprzed dokładnie 600 lat prowadzi nadal nasz rozmówca — nazywał się Marcin. Jego to znowu następcą, który opiekował się biącym zegarem w pałacu arcybiskupim na Małej Stronie (dzielnica Pragi gdzie m. in. mieści się ambasada PRL) — zwał się Albert. W drugiej połowie XV wieku, kiedy to pewien żeglarz, imieniem Krzysztof Kolumb, sposobził się do wyprawy ku dalekim łądom — ratusz praski wzbogacił się o piękny, nowy zegar. Wskazywał on nie tylko 24 godziny staroczeskiego czasu, ale także dni, miesiące i lata, ruchy słońca, księżyca i gwiazd na sklepieniu niebieskim, znaki zodiaku. Ten niezwykły zegar działał w ten sposób, że co godzina otwierają się nad nim okienka, w których ukazują się kolejno 12 postaci błogosławionych apostołów, podczas kiedy kościotrup kiwa głową i dzwoni na małej sygnaturce, umieszczony zaś po drugiej stronie zegara kogut — głośno pieje. Całość jest dziełem wielce pomysłowym, zbudowanym na podstawie ptolomeuszowskiej astronomii.

ŚLAŃNY KLEJNOT

„Ślany klejnot tego miasta, praski zegar, nie jest jako inne zegary, gdyż budzi podziw u wszystkich ludzi uczonych, a zwłaszcza astronomów” — pisał Jan

Taborsky, opiekun zegara w drugiej połowie XVI stulecia. Nic przeto dziwnego, że tym większy podziw otaczał praski zegar ze strony prostych ludzi, którzy z czasem osnuli wiele legend na tle tego mechanizmu. Jedno z podań mówi, że twórcą dzieła był młody wieśniak, na rozkaz rady miejskiej pozbawiony później wzroku (ten moment mamy i w polskich legendach!), aby nigdy nie mógł już wybudować zegara, mogącego zaćmić sławę praskiego. Oslepiony twórca prosił, aby raz jeszcze zaprowadzono go na wieżę ratuszową i tam mechanizm zepsuł tak dokładnie, że nikt już nie potrafił go naprawić. Inne podanie mówi, że zegar ten stał, kiedy Pradze grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Historia przeczy legendzie. Zegar zbudował około roku 1490 mistrz Hanusz. Zegar stanął dopiero około roku 1550 i uruchomiono go dopiero za czasów wspomnianego Taborskiego. Po jego śmierci — znowu zegar zatrzymał się — a nareperowany — wkrótce przestał działać. Ostatecznie dopiero w roku 1866 przywrócono go do dawnej świetności. Słynny Józef Manes namalował kalendarium, będące jednym z arcydzieł nowoczesnej czeskiej sztuki malarskiej. Na kalendarium malarz zobrazował w dwunastu scenach życie i pracę czeskiego ludu na przestrzeni całego roku. Tak więc zegar praski zapisał się także na kartach historii sztuki, gdyż Manes zapoczątkował nowy kierunek w czeskiej sztuce plastycznej, opierając się na poznaniu ludu i jego życia. Uszkodzony podczas powstania praskiego w roku 1945, kiedy to wybuchł pożar ratusza, zegar dziś znowu odmierza czas — tak jak przez tyle dawnych lat.

ZEGARY, LUDZIE, LEGENDY

Wielką osobliwością Pragi jest jedyny na świecie zegar, którego wskazówki obracają się w kierunku... odwrotnym! Jest to mianowicie zegar z hebrajskimi znakami i twórcy jego uważali, że tak jak pismo hebrajskie czyta się od prawej do lewej — tak i wskazówki zegara winny obracać się w odwrotnym kierunku.

Na Hradczynie wznosi się od roku 1626 wysmukła wieża z zegarem, którego mechanizm połączony jest z całym zespołem dzwonów. Z wieży, zbudowanej na wzór słynnej Casa Sancto we włoskim Loretto, rozbrzmiewa co godzinę pieśń 28 dzwonów i dzwonek. Mechanizm zegara uruchomiono w roku 1695. Lorettańskie dzwony stały się z biegiem czasu tak nieodłączną częścią życia Pragi, że prosty lud otoczył je licznymi legendami. Chyba najpiękniejsza jest ta, która opowiada o ubogiej wdowie z Nowego Świata — starodawnej uliczki Hradczyny z małymi domkami.

Było to w czasach, kiedy lorettańskie dzwonki jeszcze nie grały żadnej melodii a tylko wybiły godzinę. Uboga wdowa miała tyle dzieci — ile było dzwonek na wieży. Kiedy Pragę nawiedziła zaraza — jedna z tych, które wtedy dziesiątkowały ludność Europy — ubogiej wdowie umierało jedno dziecko po drugim. Po każdym zgonie swego dziecka, nieszczęśliwa biegła do Loretty, aby tam wyprosić podzwonne dla zmarłego. Kiedy na koniec śmierć wyrwała jej i najmłodszego, ostatnie dziecko, i z wieży Loretty odezwał się najmniejszy dzwonek, wdowa znalazła się już u kresu swych sił. Czując, że choroba i ja powalila, że nadchodzi ostatnie chwile, kobieta lkała: „Ach, drogie dzieci, ja postarałam się, aby dla każdego z was rozległa się podzwonne — ale któż to dla mnie uczyni?” Wtedy

rozległy się piękną melodią wszystkie dzwonki na wieży, a matka poznała od razu, że to są głosy jej wszystkich dzieci. Od tego to właśnie czasu — mówi legenda — lorettańskie dzwonki „śpiewają” — stwarzając tak cudowny nastrój, charakterystyczny dla starej Pragi, a w szczególności dla Hradczyny i Małej Strony.

Ciekawe, że jeszcze jedna wieża praska miała wskazywać czas ludności, jakkolwiek nie było wcale na niej... zegara. Jest to mianowicie wieża klementińskiego obserwatorium astronomicznego (wybudowana w r. 1751), z której oznajmiano tylko południe. Kilka sekund przed godziną dwunastą, na galerijce wieży zjawiał się człowiek z chorągwią w rękę, wznosił ją nad głowę i równo z uderzeniem południa, pochylał przez balustradę. Zastępy mieszkańców miasta czekały na tę chwilę, aby uregulować swe zegarki — na wiele, wiele lat przed radiowym sygnałem czasu — no i radem w ogóle.

Sześćset lat praskich zegarów — to dzieje wielkiej zręczności praskiego rzemieślnika, szukającego wciąż nowych, oryginalnych pomysłów. Ale kiedy spogląda się z wieży na Pragę, to dochodzący z tak bliska dźwięk wybijanych godzin, każe dostrzec ową całą historię, którą dzień po dniu, rok po roku — odmierzają praskie zegary.

HISTORIA ZEGARA I ZEGAR HISTORII

Aż dziwnie pomyśleć, że zegar z wieży ratuszowej którego dzieje pokrótce opisałem, bił już wtedy, kiedy po wygaśnięciu ze śmiercią Zygmunta Augusta dynastii polskich Jagiellonów (1572) — najpoważniejszym kandydatem na tron był magnat czeski, Wilhelm z Róžomberka. Sejm czeski powoływał się wtedy na „dawną, dobrą przyjaźń, miłość i życzliwość między królestwem polskim a czeskim”.

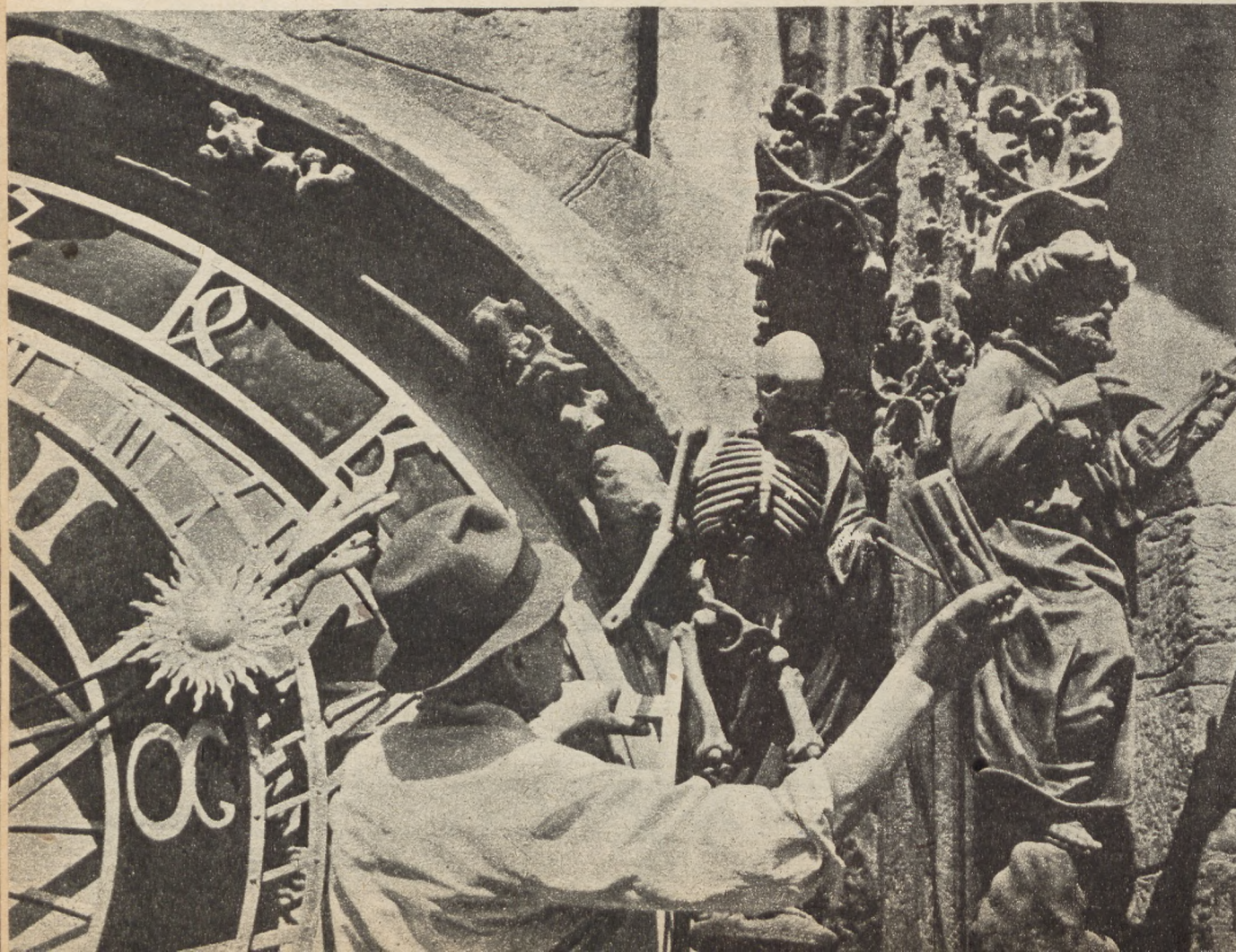
Tu, koło zegara, pod pomnikiem Jana Husa, zbierali się też mieszkańcy Pragi, kiedy wróg zagrażał ojczyźnie.

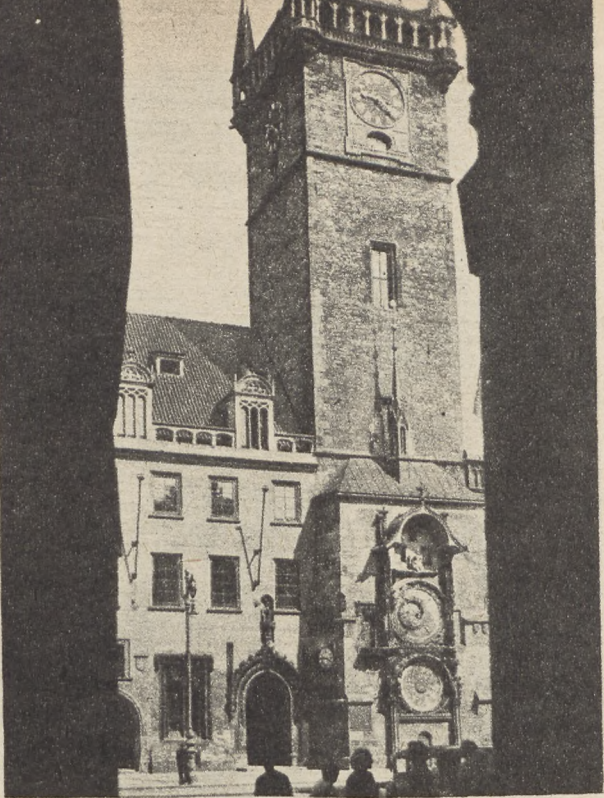
Przed sześciu laty zima roku 1948 była bardzo ostrą, a rankiem 21 lutego miasto zostało ujęte w okowy szczególnie silnego mrozu. Ale zegar odmierzał nieprzerwanie godzinę, kiedy u stóp jego wieży ustawały się nadchodzące miarowym krokiem oddziały robotnicze. Cały Plac Staromiejski i przylegające doń ulice były szczelnie wypełnione ludźmi, którzy z rękami w kieszeniach, przytupując na mrozie — czekali na szefa rządu, Klementa Gottwalda. Obłok pary z oddechów dziesiątków tysięcy ludzi unosił się nad placem, kiedy o godzinie 10 — Klement Gottwald przemówił do zebranych z balkonu pałacu Kłńskich. Na jego wezwanie powstała klasa robotnicza, aby bronić swego kraju przed zakusami reakcji.

Sześć lat minęło od tych lutowych dni, Klement Gottwald ubył z szeregów — ale lud Czechosłowacji z roku na rok zwiększa bogactwo Republiki, jej siłę i potęgę.

Co godzina ukazują się w okienkach zegara Ratusza Staromiejskiego w Pradze postaci 12 apostołów (sfotografowane we

wnętrzu mechanizmu), podczas kiedy kościotrup (na zdjęciu 1



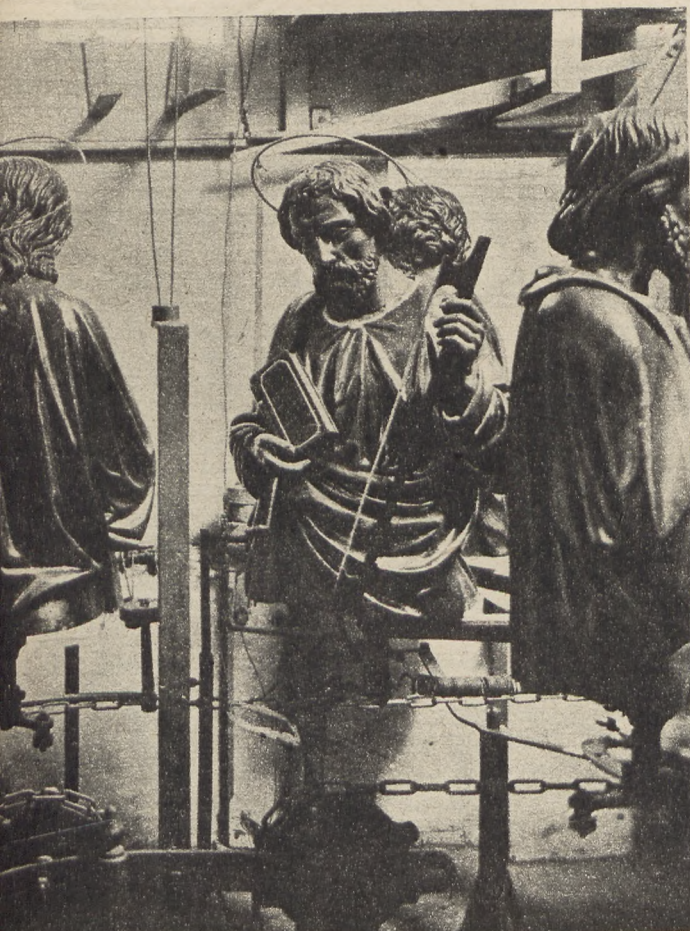


Nieopodal tego zegara przemawiał 21 lutego 1948 do ludu Pragi Klement Gottwald, którego pierwszą rocznicę zgonu teraz obchodzimy. Na jego wezwanie powstała klasa robotnicza do obrony Czechosłowacji przed zbrodnictwami zakusami reakcji.



Malowane przez słynnego Józefa Manesza kalendarium zegara obrazuje zajęcia ludu czeskiego na przestrzeni całego roku

w czasie prac remontowych w 1945 r.) dzwoni na sygnaturce



GŁOSY O POLSCE

W UBIEGŁYM roku dane mi było odwiedzić Polskę Ludową i na własne oczy przekonać się, jak naród polski buduje w swoim kraju podwaliny socjalizmu. Twórcy i budowniczości Polski Ludowej, która w 1954 r. obchodzi 10 rocznicę swego narodowego i społecznego wyzwolenia, mogą z zadowoleniem i uczuciem usprawiedliwionej dumy spojrzeć na niezwykle osiągnięcia, jakich dokonała ich pokojowa praca na drodze do odbudowy kraju.

Kiedy spotkał mnie wielki zaszczyt odbicia w celach naukowych podróży po Polsce Ludowej i nawiązania stosunków z moimi kolegami - dziennikarzami, moje zdumienie i podziw nie miały granic.

Oczywiście, również w Niemieckiej Republice Demokratycznej miałem możliwość obserwować i wciąż jeszcze widzieć, z jakim zapałem klasa robotnicza przystąpiła do usunięcia ruin po hitlerowskiej wojnie, jak zabrała się do budowy nowego i szczęśliwego życia. Wyniki, które widziałem w Polsce są godne podziwu, a jednocześnie są bardzo pouczające dla całych Niemiec.

Znane mi już było przedtem — jest ono znane całemu światu — określenie „warszawskie tempo”. Jednak to, co przeżyłem w Warszawie i co widziałem własnymi oczami, przeszło wszystkie moje oczekiwania.

Często słyszałem i czytałem, że Warszawa została zburzona przez hitlerowców niemal w 90% i że mieli oni zamiar doszczętnie zetrzeć to miasto z powierzchni ziemi. I oto odbudowa Warszawy wydała mi się czymś w rodzaju bajki lub cudu. Odbudowane zostały dawne pamiętki architektury, gmachy publiczne i pałace, powstały nowe dzielnice mieszkaniowe, całe trasy o przepięknych starych domach starej Warszawy — wszystko to opromienia dawne i nowe piękno.

Z zachwytem patrzyłem w Muzeum Narodowym na obrazy Canaletta, a przecież musiałem stwierdzić: „Tak, piękna była dawna Warszawa, ale jakże piękna jest dziś!” Wszędzie, gdzie izucie okiem — wrzały prace budowlane, tu wahały młotki, tam podnosiła pieśń, która mówiła o pracy i pokoju. Już z daleka widać było ogromne dźwigi tam, gdzie buduje się Pałac Kultury i Nauki. Miałem możliwość pobieżnego przyjrzenia się tej monumentalnej budowie — trudno było jednak ogarnąć wielkość potęgę i piękno wiekopomnego daru Związku Radzieckiego. Wtedy zrozumiałem to ogromne zainteresowanie, z jakim Polacy śledzą szybki postęp prac przy wznoszeniu Ludowego Pałacu.

Na wystawie, zorganizowanej w Warszawie w związku z Międzynarodowym Kongresem Architektów, widziałem niezwykle śmiałe projekty odbudowy wielu innych miast polskich. Ta „gorączka odbudowy”, jak mogłem stwierdzić, objęła nie tylko stolicę, lecz cały kraj — a przecież wszystko to nie ma nic wspólnego z jakimś cudem. Każdy bowiem przybywający do Polski Ludowej nie może nie doznać głębokiego wzruszenia na widok tego, jak naród polski, który tyle przeszedł i przecierpiał, daje świadectwo swej nieugiętej żywotności, jak pod przewodnictwem swej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w niezwykle szybkim tempie odbudowuje kraj i usuwa straszliwe rany wojenne.

Jest bowiem rzeczą stwierdzoną, że ten pracowity i inteligentny naród, dzięki swym niespożytym siłom i pomocy okazanej przez Związek Radziecki, zdołał w przeciągu 10 lat doprowadzić do tego, że Polska Rzeczpospolita Ludowa należy dziś pod względem przemysłowym do czołowych państw w Europie. Podczas mojego pobytu w Nowej Hucie miałem sposobność przekonać się, jak dosłownie „z ziemi” wyrosło tam zupełnie nowe piękne miasto i potężny kombinat przemysłowy.

Dowiedziałem się, że budowniczości polscy realizując wspólny, 6-letni plan zbudowali już 1425 nowych, wielkich zakładów przemysłowych. Z jaką miłością mówią przy tym Polacy o Związku Radzieckim, zdając sobie codziennie sprawę z tego, że pomoc i doświadczenie pierwszego na świecie państwa socjalistycznego jest źródłem ich osiągnięć.

Niemiecka Republika Demokratyczna śledzi odbudowę Polski z ogromnym zainteresowaniem. Podczas mojego pobytu w Polsce zebrałem wiele materiałów fotograficznych, zwłaszcza dotyczących odbudowy Warszawy. Na wykładach, jakie odbywałem dla studentów i robotników lipskich, pokazuję te zdjęcia na przezięczach i mogę stwierdzić, że mój podziw dla tych osiągnięć udziela się również moim słuchaczom. Podobnie, jak w wielu miejscowościach Niemieckiej Republiki Demokratycznej, tak i w Lipsku wyświetlano dokumentalny film pt. „Warszawa”. Kiedy „Towarzystwo Współpracy Kulturalnej z zagranicą” zwróciło się do mnie z propozycją wygłoszenia wstępnej prelekcji do tego filmu, chętnie skorzystałem z tej okazji i w wielu kinach i zakładach pracy mówiłem o moich wrażeniach z pobytu w Polsce Ludowej.

Nazwałem film „Warszawa” — jest to moje najgłębsze przekonanie — jednym z najbardziej dramatycznych filmów, jaki kiedykolwiek został nakręcony. Bo czyż może być coś wspanialszego niż pokazanie, jak naród wspólnymi siłami buduje dla siebie szczęśliwsze życie?

W moich odczytach o Polsce Ludowej, ilustrowanych przezroczkami, poświęcam poważną część opisowi zwycięzonego przez mnie obozu w Oświęcimiu. Moim rodakom, a zwłaszcza naszej młodzieży, raz jeszcze z całą dobitnością ukazuję zbrodnie popełnione przez hitlerizm i straszliwe ofiary poniesione przez naród polski. Sprawę Oświęcimia, gdzie zamordowano cztery miliony ludzi, łączę ze sprawą naszej pokojowej granicy z Polską na Odrze i Nysie.

Czyż można zapomnieć, że podczas pierwszej i drugiej wojny światowej Niemcy dwukrotnie w ciągu dwudziestu pięciu lat napadły Polskę właśnie z tych terenów leżących pomiędzy Prusami Wschodnimi a Śląskiem? Czyż można zapomnieć, że podczas drugiej wojny ofiarami faszystowskiego terroru padło sześć i pół miliona obywateli polskich, a pięć milionów dzieci polskich zostało sierotami?

Ci, którzy dziś w Niemczech prowadzą podjudzającą kampanię przeciwko granicy na Odrze i Nysie, są tymi

Wilhelm Eildermann

Profesor Wilhelm Eildermann, urodzony w roku 1897 w Bremie, pochodzi z rodziny robotniczej. Jako 15-letni chłopiec wstępuje do socjalistycznej organizacji młodzieżowej „Junge Garde”. Po ukończeniu szkoły poświęca się całkowicie pracy dziennikarskiej w prasie partyjnej.

W roku 1918 bierze czynny udział w niemieckiej rewolucji listopadowej w szeregu Związku Spartakusa. W grudniu tegoż roku obejmuje stanowisko redaktora dziennika „Kommunist” w Bremie. W następnych latach kieruje prasą partyjną w Brunświoku, Halle, Lipsku, Wrocławiu, Hannoverze, Saarbrücken, Magdeburgu i Rostocku. Wielokrotnie aresztowany przez hitlerowców wyjeżdża na emigrację, najpierw do Czechosłowacji, a potem do Paryża. W chwili wybuchu wojny zostaje aresztowany przez reakcyjny rząd francuski i przez cztery lata przebywa w obozie koncentracyjnym.

W roku 1943 przedostaje się do Związku Radzieckiego, gdzie bierze czynny udział w ruchu „Freies



Deutschland”. Po powrocie do Niemiec obejmuje stanowisko kierownika służby informacyjnej SED. Od roku 1951 jest profesorem teorii i praktyki dziennikarskiej na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku oraz dyrektorem Instytutu Prasoznawczego.

samymi faszystowskimi agentami i prowokatorami, którzy 17 czerwca 1953 r., za pomocą pożarów i przegotowywanej rzezi w Niemieckiej Republice Demokratycznej chcieli przeszkodzić pokojowemu zjednoczeniu Niemiec. Tym ludziom nie zależy na pomyślnych losach ani polskiego, ani niemieckiego narodu — spełniają oni wyłącznie rozkazy amerykańskich imperialistów, ciągnących największe zyski wtedy, kiedy inne narody broczą krwią w rozpętanej przez nich wojnie.

W Polsce Ludowej spotykałem się z tym samym, co widziałem w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a mianowicie: prości ludzie, ludzie pracy myślą jednako. Myślą tak samo, jak ten 80-letni cieśla Fiodor Polowikin, który na III Związkowej Konferencji Obrońców Pokoju w Moskwie powiedział: „Nie mamy czasu na prowadzenie wojny. Tak, nie mamy na to czasu! Naród radziecki ma znacznie pilniejsze, bardziej ciekawe i pociągające zadania do spełnienia!”

W Niemieckiej Republice Demokratycznej uprzytomniono sobie, że Związek Radziecki, okazując pomoc narodowi polskiemu w odzyskaniu prastarych piastowskich ziem, stanął w obronie zasadniczych podstaw prawa i sprawiedliwości. W Niemieckiej Republice Demokratycznej, skąd wypieniono źródła faszystowskiej agresji, uchwały, jakie zapadły w Poczdamie, zostały zrozumiane i uznane za słuszne.

Z polskiego stanowiska powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jak powiedział Bolesław Bierut, stało się „wielkim historycznym zwrotem w rozwoju pokojowych i przyjaznych stosunków między narodem polskim i niemieckim”.

Na obu brzegach „Granicy Pokoju” dymią kominy, ludzie pracują nad stworzeniem dla siebie szczęśliwego życia i zapewnienia pokoju. Czemuż to psy łańcuchowe amerykańskiego imperializmu szczerzą przeciwko pokojowej granicy na Odrze i Nysie, którą uroczystie uznano na konferencjach w Jałcie i Poczdamie?

Przyczyna tego leży wyłącznie i jedynie w tym, że naród polski wstąpił na drogę postępu, demokracji i socjalizmu. Polska Ludowa odgrywa w potężnym obozie Obrońców Pokoju niezmiernie doniosłą rolę.

Więzy przyjaźni, umowy gospodarcze i wymiana kulturalna łączy dziś naród polski ze wszystkimi pokojomilującymi narodami. Nerozerwalne są również więzy przyjaźni, jakie łączą naród polski z narodem niemieckim, we wspólnej walce o pokój, o rozwój gospodarczy i kulturalny.

Wszyscy postępowi Niemcy czują ogromną wdzięczność dla Polski, która wraz ze Związkiem Radzieckim wszelkimi siłami popiera naszą walkę o zjednoczenie demokratycznych i pokojowych Niemiec.

W. Eildermann



W LODACH SZCZECIŃSKIEJ ARKTYKI

MIROSLAW AZEMBSKI

Zdjęcia: W. SŁAWNY

Zimą i wczesną wiosną nieustrudzony „Światowid” codziennie przemierza rozległe obszary lodowe Zalewu Szczecińskiego.

skiego przerabując drogę do portu. Dzięki ofiarnej pracy naszych lodolamaczy port czynny jest przez okrągły rok.



Przy radiotelefonie Alfons Galikowski. Właśnie usłyszał wołanie: „Woła „Wieluń”, utknęliśmy w lodach...”

LODOŁAMACZ, jak sama nazwa wskazuje, przeznaczony jest do łamania lodu. „Światowid” funkcje te zazwyczaj wykonuje świetnie, a w kłopotliwą sytuację popada tylko wówczas, gdy oprócz lodów przychodzi mu przełamywać... ludzki upór i fałszywą ambicję.

Zdarzyło się tak na przykład w czwartym dniu naszej podróży na „Światowidzie”. Dzielną ten lodolamacz, szeroki, toporny w rysunku i mocny jak koń pociągowy, uwolnił właśnie z lodowego więzienia statek handlowy „Poznań” i wracał triumfalnie do Szczecina. Ale tym razem nie było mu dane spokojnie zawinąć do portu: radiotelefon, obsługiwany przez chudego i bladego, ale sprawnego w robocie oficera Galikowskiego, oznajmił, iż na Zalewie, w pobliżu Swinoujścia „stoi w lodzie cała kupa statków i trzeba natychmiast im pomóc...”

Zawróciliśmy więc i po kilku godzinach ujrzelśmy na nocnym niebie czerwone, zielone i żółte światła sygnałowe tych statków, przypominające iluminację „lunaparku”.

Nasz kapitan Mrotek, marynarz bardzo doświadczony, z układu tych świateł rychło odczytał liczbę i położenie statków. Było ich sześć, stały na trasie jeden za drugim, nieruchome, obezwładnione lodami.

Powiedziałem „na trasie” i muszę tutaj dodać pewne wyjaśnienie. Zalew Szczeciński, oddzielający port od pełnego morza, posiada kształt gruszki (bardzo zresztą nieforemnej), która liczy u swojej podstawy kilkadziesiąt mil szerokości. Cała ta przestrzeń wodna zamienia się zimą w lity tafel lodu, a tylko jej środkiem prowadzi trasa żegluga.

Wachta na mostku nawigacyjnym wypatruje, czy na horyzoncie nie widać już statku uwiecznionego w lodach. Jest!



gowa, co najwyżej trzydzieści metrów szeroka, przerabiana codziennie stalowym ciałem lodolamaczy. Tędy chodzą statki. Chodzą albo też i stoją, bo najlepiej przeorana trasa przy silnym mrozie zamarza na powrót po kilkunastu minutach.

Tych właśnie sześć — „Salamandra”, „Karin Thorden”, „Kutno”, „Wieluń”, „Riazań” i „Signal” — utknęło w podróży do Szczecina i czekało na pomoc „Światowida”.

— Trzeba zatańczyć dookoła nich, wykroić z lodu, potem stanąć na czele konwoju i poprowadzić do portu — powiedział kapitan Mrotek. — A który okaże się słaby — dodał — tego weźmiemy „na sznurek”...

Tak też uczyniliśmy. Trudno mi opisać wszystkie wykonane wówczas manewry: wiem tylko, że na naszym mostku nawigacyjnym dzwieczyły dzwonki i rozbłyśkały światła maszynowego telegrafu, padały rozkazy dla sternika, który; zdawało się, obojętnie, a przecież w wielkim napięciu nerwów przesuwiał szprychy koła. Kapitan Mrotek, niski i gruby, ale ruchliwy jak tenisista — biegał od jednego okna do drugiego i sprawdzał skuteczność wydanych poleceń. Obok nas przemyczały cienie statków niczym groźne skały, a w kręgu naszego reflektora czytaliśmy napisy: „Karin Thorden”, „Kutno”, „Riazań”, „Signal”...

Po kilku minutach kapitan Mrotek zdjął czapkę i otarł pot z czoła: już było po wszystkim. Pomyślałem, że to była brawura, ale kapitan wytłumaczył mi zaraz, że inaczej tych rzeczy nie można robić. Żeby skruszyć lód dookoła zamarzniętego statku, trzeba przejść jak najbliżej jego burt, najlepiej w odległości metra — tak, jak to zrobiliśmy przed chwilą.

A więc najgorsze — cały trud, całe ryzyko — mamy poza sobą? Zdawało się, że tak. Ustawiliśmy się na przedzie i syreną daliśmy znak, że ruszamy.

Na czele konwoju, tuż za nami, stał wielki i silny statek „Salamandra”. To świetnie. Ten swoim szerokim, ciemnym kadłubem tak „rozrobi” trasę, że dalsze pójść za nim jak po maśle. Gorzej, gdyby zawiodły jego maszyny: wtedy zatarasuje drogę innym, które nie będą przecież w stanie przebijać się przez świeży lód obok trasy. Ale i na to jest rada: weźmiemy go wówczas na hol.

„Salamandra” nie jest prawdziwą nazwą tego statku. Wymyśliłem ją naprędce, aby nie kompromitować kapitana, który... Lecz opowiadajmy po kolei.

Na nasz sygnał do odejścia „Salamandra” nawet nie drgnęła. Uplywały cenne minuty, rozbeltany przy statkach żużel lodowy powoli zamarzał. Szczerbo, oficer nawigacyjny „Światowida”, wyszedł na atakowany mroźnym wiatrem pomost i dał sygnał latarką: „Ruszajcie za nami, wszystko gotowe”.

Nie było odpowiedzi.

„Dlaczego stoicie? Podać wam hol?”

„Salamandra” milczy. Co się właściwie stało? Wszyscy pomarli, czy posnęli? Kapitan gra w domino? Mógł sobie na to znaleźć dogodniejszy czas!...

Radio-oficer Galikowski wysłuchuje tymczasem wyrzutów brzęczących w membranie głośnika: „Tu Signal, Świa-

towid, dlaczego nie idziecie, obmarzamy z powrotem...” „Woła Kutno, wieziemy pilny ładunek, nie można tak tutaj stać...” „Światowid, co się dzieje, do diabła!...”

Cóż im odpowiedzieć! Można by podać tylko nasze domysły o sytuacji na „Salamandrze”. Statek jest domem i warsztatem pracy marynarza. Marynarz jest patriotą swojego statku. Zbyteczne byłoby wywieszanie w mesie hasła: mój statek świadczy o mnie. Każdy triumf statku jest triumfem osobistym wszystkich — od kapitana do stewarda, każdy dyshonor statku boleśnie porusza całą załogę. Nie ulega wątpliwości: maszyny „Salamandry” uległy uszkodzeniu, kapitań „wziął na przetrzymanie”, nie odpowiada na nasze wołania, a cichcem każe mechanikom naprawiać. Wstydzi się wejść do portu na holu.

Jednakże wszystko ma swoje granice: dobra jest taka ambicja, jeśli nie szkodzi innym. „Salamandra” zaś przebiera miarkę pytając w końcu z głupia frant:

„Światowid, dlaczego nie ruszacie?”

Trwamy nieruchomo już piętnaście minut, a złośliwa „Salamandra” niweczy naszą pracę. — Teraz już się ona nie odezwie — mówi kapitan Mrotek tonem głębokiego przekonania. Sprawa wkroczyła bowiem w inną fazę: ambicja zesłała na dalszy plan, a w grę weszły pieniądze. Albowiem świętym obowiązkiem lodolamacza jest przeprowadzanie statków do portu, jego już sprawa, jakimi sposobami. Jeśli trzeba delikwenta holować, bierze się go „na sznurek”. Lecz jeśli statek z awarią maszyn sam o ten „sznurek” prosi — musi płacić. „Salamandra” nie chciała przyjąć naszej pomocnej dłoni, teraz odpokutuje to w... brzęczącej monecie. Jej kapitan wrzeszczy na mechaników, aby naprawiali prędzej, a trasa tymczasem zamarza.

Kapitan Mrotek uznaje w końcu, że niewielka opłata „Salamandry” nie zrównoważy strat, powstałych z opóźnienia całego konwoju. Rezygnuje przy tym z drobnej osobistej urazy. Wychodzi na pomost i ustawia latarkę sygnałową, aby ponownie zaproponować darmowy hol, gdy... z „Salamandry” dobiega nerwowo, wściekły sygnał:

„Podajcie hol, przygotujcie rachunek”.

Obłok pary unosił się nad naszą windą holowniczą, pięć par rąk wyciągnęło się po linę konopną, do której bosman Pasoń przytroczył ciężki stalowy hol, gruby jak ręka w przegubie.

Po krótkiej operacji poszliśmy naprzód, ciągnąc naszego niesfornego delikwenta. Ale inne statki nie podążyły za nami. Było już za późno.

I ponownie zagrały u nas dzwonki maszynowego telegrafu; znów odbyliśmy od początku cały taniec wykrawając z lodu statki, które padły ofiarą „Salamandry”: znowu sternik, na pozór obojętnie, przekładał szprychy koła. Na naszym mostku toczyła się jednocześnie rozmowa o tym, że nie tylko lód bywa przeszkodą w walce o życie portu szczecińskiego w okresie zimy.

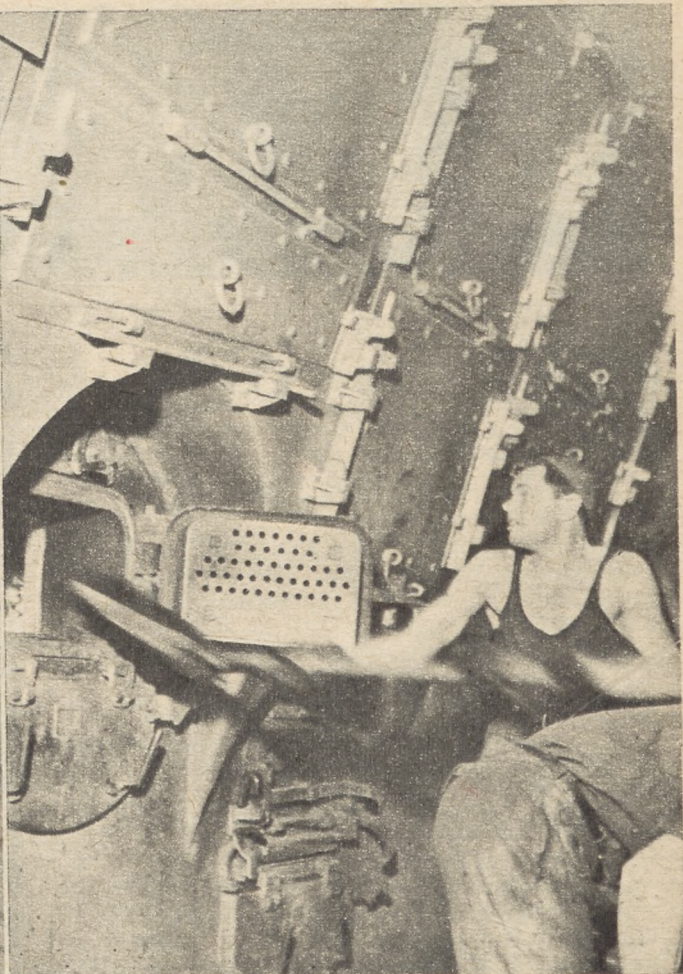
Switem byliśmy w Szczecinie, na czele zwycięskiego pochodu. Zakończył się jeden z fragmentów bitwy z lodami. Nazajutrz miał się rozpocząć następny



„Światowid“ idzie na pomoc. Kapitan Jan Mrotek rozkazuje maszynowni: „Cała naprzód... Wyciągamy „Wieluń“”



Sygnalizowane z pokładu rozkazy wykonuje sprawnie I mechanik, Ostrowski, laureat Nagrody Państwowej.



więcej węgla! Trzeba całej siły maszyn, aby rozbić taflę lodową, która na Zalewie ma co najmniej 30 cm grubości.

Jak się okazuje, ugrzązł nie tylko „Wieluń“, ale także „Signal“, „Kutno“, „Karin Thorden“... Za chwilę „Świa-

towid“ rozpocznie skomplikowane manewry, aby wzruszyć lód wokół niefortunnych więźniów naszej rodzimej Arkty-

ki. Późem lodolamacz ustawi się na czele konwoju i triumfalnie poprowadzi swych „klientów“ do portu.



BENZYNA

N A P I S A Ł:
JERZY JANICKI

3)

PODOBNI jak z węglem kamiennym, nie mogliśmy się długoplanowo nastawić na taki katalizator. Trzeba będzie osadzać inne cząsteczki: może kobalt, może tor, może magnez? A zatem stało się zadanie opracowania zupełnie nowej technologii. Tak czy owak musieli nasi chemicy zasiąść do stworzenia własnego katalizatora.

Dodajmy do tego potrzebę przebudowania na węgiel kamienny urządzeń części gazowej, a otrzymamy obraz sytuacji nieledwie taki sam, jak przed wyprawą do Schwarzhaidel.

Głównie chodziło o katalizator. Praca nad nim miała być egzaminem dojrzałości naszych chemików. Czy jest możliwe, aby zdać maturę, jeżeli ma się poza sobą tylko szkołę podstawową? Skoro uda się to komuś, znaczy to, że jest to człowiek dużych zdolności. Skoro naszym inżynierom uda się opracować nową technologię katalizatora, znaczy to będzie, że to chemicy dużych zdolności. Znaczy, że dogonili swoich kolegów, którzy już dawno parali się benzyną.

Nad katalizatorem zasiadli inżynierowie Sokalski, Pędowski (kierownik wytwórni katalizatora), Sobierajski (naczelný dyrektor zakładów) Zieleński, Taban, Tomasiak.

Była to ich benzynowa premiera.

Emil Połaczarz był zdumiony odwagą tych ludzi. Jednocześnie zazdrościł im hazardu, odczuwał głęboki ból, że nie uczestniczy w ich zmaganiach. To przypominało c zadawnionym problemie: studia. Akurat typowano przodujących pracowników do technikum. Napisał na kancelaryjnym papierze: „...proszę o dopuszczenie mnie do egzaminów w Technikum w Gliwicach...”

W tym czasie rozeszła się wiadomość: nasi inżynierowie znajdują się na dobrej drodze do uruchomienia fabryki syntyny własnymi siłami.

Własnymi?! Nad benzyną lamali sobie zęby najtężsi chemicy. A czy kto kiedy słyszał, aby w Polsce ktoś się poważnie zajmował benzyną? To nie jazda na rowerze, na to trzeba wieloletnich doświadczeń.

To wszystko była prawda. Ale mimo to postawiliśmy na naszych chemików w Dworach.

Rozpoczęła się gra...

Dziś, kiedy jej wynik jest już przesądzony (wszak tysiące aut uganiają się po ulicach, myjemy się mydłem, palimy świeczki — a to wszystko po prostu syntyna z Dworów), dziś właśnie można się zastanowić nad jaką to grą walczyli się wówczas młodzi ludzie w Dworach. Zobaczymy, że nagle wtrącili swoje trzy grosze w sprawę, które kiedyś ważyły losy świata.

W tym celu dobrze będzie, jeżeli zapoznamy się z dziejami benzyny. Oto jej skondensowana historia.

Rozdział IV SŁOWO O NAFTCE

To wie każdy: benzyna naturalna jest pochodną nafty. Nafta — to ropa. Historie nafty spisane są w tysiącach ksiązek. Powtarzać ich niesposób, jednakże z drugiej strony niesposób pominąć kilku najbardziej zasadniczych momentów w tej historii, jeżeli mamy poznać dzieje benzyny. Znajac losy nafty, w pełni zrozumiemy ogrom znaczenia powstania benzyny nowoczesnej, benzyny syntetycznej.

Można by to przedstawić mniej więcej tak:

1.

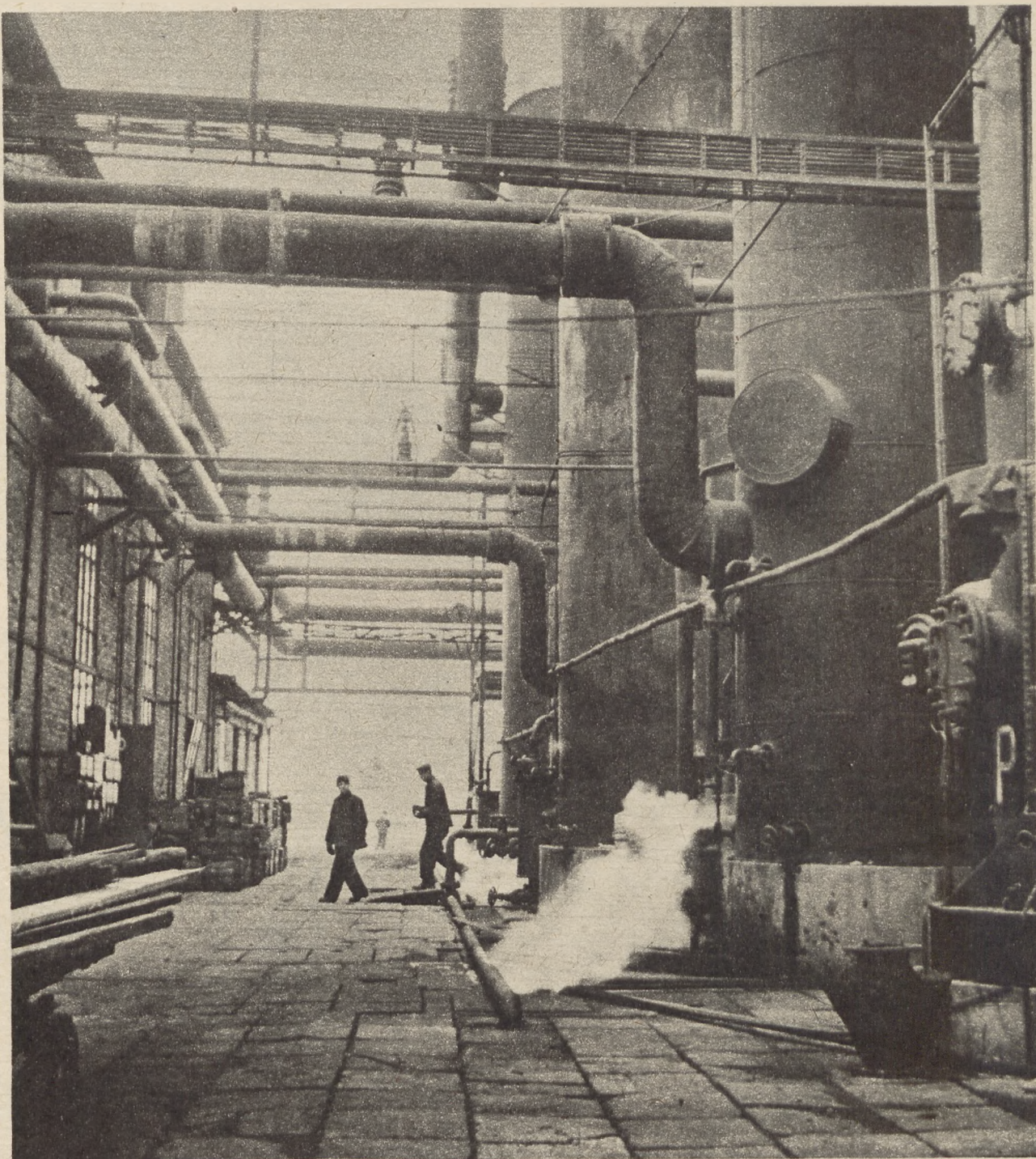
Egipcjanie czcili Ozyrysa, śmiertelnie bali się kłapanów, budowali piramidy. Nieboszczyków przy balsamowaniu smarowali dziwną cieczą. Taką cieczą polewali również swoje drogi. Dziś powiedzielibyśmy po prostu — asfalt. To była — ropa. W Sodomie i Gomorze zdaniem biblijy prowadzono się bardzo niemoralnie. Trudno dociec, co się tam wyrabiała. W każdym razie Sodoma i Gomora po prostu zapadła się i spłonęła. Geologowie jak wiadomo nie zajmują się pisanie biblij, po prostu badają ziemię. W ten sposób naprawili reputację i opinię mieszkańców Sodomy. Okazało się, że wzdłuż Jordanu ciągnęły się wielkie złoża ropy. Zapaliły się, wybuchły i oczywiście zburzyły dwa miasta. Tak to ropa sięga nie tylko głęboko w ziemię, równie głęboko tkwi w historii.

2.

Ponad sto lat temu po wioskach Stanów Zjednoczonych wędrował niejaki Rockefeller. Miał z sobą Murzynów-muzykantów. Czarni grali a Rockefeller rozdał chorem ropy jako lekarstwo. Na płuca, na bóle w piersiach, skurcze, na wszystko. Ludzie płacili, smarowali się i po swojemu umierali.

3.

W roku 1843 do apteki Mikolascha we Lwowie przyszedł pewien propinator z Ulaszowic. Targał z sobą bla-



Fot. W. Prażuch

Produkując benzynę otrzymuje się w Dworach „po drodze” szereg innych produktów. Tu powstaje parafina

szaną bańkę. Ten chłop nazywał się Schreiner, magister w aptece — Ignacy Łukasiewicz. Schreiner ma czerwony, wielgachny nos. Powiada, że przyniósł w bańce pewną ciecz i pyta, czyby z tego nie można pędzić wódki. Niby jeśli można z kartofli, kukurydzy, buraka, żyta, dlaczego nie można by z cieczy. Niech pan prowizor sam powie. Ignacy Łukasiewicz spogląda na czerwony nos Schreiner, bierze ciecz i rafinuje z niej razem z Zehem czystą naftę. Wlewa ją do skonstruowanej przez siebie lampki i ofiarowuje to wszystko szpitalowi miejskiemu. Pewnego wieczoru chirurgi po raz pierwszy przeprowadzają operację w nocy. Nad stołem operacyjnym świecą dziwne lampy. Schreiner jest oczywiście zmuszony pędzić po staremu bimber po prostu z kartofli, za to świat po raz pierwszy dowiedział się o właściwym zastosowaniu ropy. Dokonał tego Ignacy Łada-Łukasiewicz.

4.

W roku 1880 John D. Rockefeller pożycza 10 tysięcy dolarów i zakłada małe towarzystwo, które trudni się rafinerią i wydobywaniem nafty. Przedsiębiorczy John odziedziczył po ojcu-znachorze dwa zamiłowania: muzykę i naftę. Potem, dzięki machinacjom, walce konkurencyjnej, gromieniu konkurentów, utworzył „Standard Oil”. Sprowadzał sobie słynnych organistów. Oni grali, a Rockefeller ograbiał ludzi.

5.

Rodzice Deterdinga nie leczyli ropą. Oni handlowali w Holandii błękitnymi tulipanami. Deterding bierze pieniądze i wyjeżdża do Anglii. W roku 1897 zakłada „Royal Dutch Shell”. Oczywiście — nafta. Jest preze-

sem towarzystwa. Ten nie lubi muzyki, woli tyżwy. Lód to jego pasja. Po prostu tak samo jak interesy. Wielka Brytania ma kolonie. W koloniach są ludzie i nafta. Nafta jest droga, tubylcy wręcz przeciwnie. Za parę szylingów napompują ropą cały pociąg cystern. Rząd ma udziały w „Royal Dutchu”, popiera we wszystkim Deterdinga. A właśnie bardzo tego poparcia potrzebuje. „Standard Oil” wypiera go z wielu naftowych terenów. Tu nie ma ceregieli. Czas to pieniądz. Pieniądz to nafta. Trzeba się spieszyć z jej wydobyciem. Hejże, kto pierwszy! „Standard Oil” i „Royal Dutch” rozgniatają po drodze wszystkich konkurentów. Nafta należy do nich. Przy jej podziale między siebie walczą o każdą kroplę.

6.

W roku 1896 australijski inżynier, William Knot d'Arcy, odkrył żyte złota w Mount Morgan. To prawie zrozumiałe: D'Arcy jest bardzo pobożny, modlił się i znalazł. Z tym złotem jedzie do Persji. Tam parę tysięcy lat temu Persowie walili głowami przed wiecznymi kolumnami boga Ormuzda. Kolumny świeciły się dzień i noc. Ormuzd był wszechpotężny! D'Arcy podaje to w wątpliwość, to nie żadna kolumna Ormuzda, to po prostu słupy zapalonej ropy. Jedzie ją odnaleźć. W Teheranie panuje szach Nasser-ed-Din. W żaden sposób nie wpuszcza do kraju niewiernych gaurów. Ale d'Arcy pomaga mu zbudować kolej. Szach jest uduchowany i zachwycony przedsiębiorczością młodego Australijczyka. Na jego prośbę wypisuje mu następujący przywilej:

„Inżynier William Knot d'Arcy oraz wszyscy jego

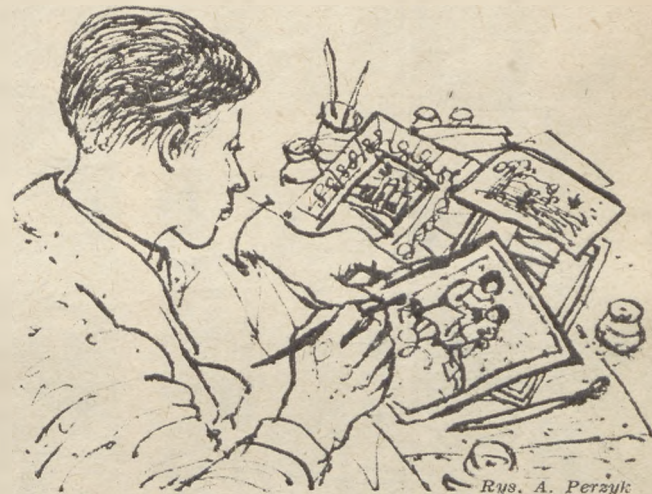
NIESŁUSZNIE PRZEMILCZANA SZTUKA

NA rynku wydawniczym coraz częściej pojawiają się książki, których opracowanie plastyczno-graficzne osiąga niespotykany dotychczas poziom. Ale autorzy recenzji, omówień i wzmianek wydawniczych, zamieszczanych w pismach — zdają się tego zupełnie nie dostrzegać. W recenzjach literackich plastyczne elementy książki pomija się z zasady całkowitym milczeniem. W nielicznych tylko wypadkach szczególnie dobrej woli autorów recenzji „szata zewnętrzna książki” (tak się to u nas archaicznie nazywa) bywa zaszczycona nie mówiącą jedno lub dwuzdaniową wzmianką.

Jest to niesłuszne i krzywdzące przemilczanie zasług ważnego współtwórcy książki, jakim jest ilustrator i autor układu plastyczno-graficznego. Zasługi plastyków użytkowych w dziedzinie wydawniczej są ogromne. Wystarczy porównać pierwszą lepszą książkę wydaną obecnie z książkami z roku 1945, aby się przekonać, że ubożuchny kopciuszek zmienił się w strojną i wymuszaną królową. Książki polskie już dzisiaj śmiało można zaliczyć do najstaranniej wydawanych książek na świecie.

Oczywiście, nie wszystkie. Skala walorów plastycznych książki polskiej jest dość zróżnicowana i zależy od smaku i dobrej woli poszczególnych wydawnictw.

Moim zdaniem, palmę pierwszeństwa w tej dziedzinie przyznać należy Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik”.



Rus. A. Perzyk

wej „Czytelnik”. Od chwili przejścia działu plastyczno-graficznego tego wydawnictwa przez znanego artystę-plastyka Jana Samuela Miklaszewskiego, większość książek czytelnikowskich zaspokaja gusty najwybredniejszych bibliografów. Wydawnictwo wprowadziło ceną innowację, polegającą na tym, że wybitniejsze pozycje wydawane są w twardych okładkach oprawnych w płótno. Na szczególne podkreślenie zasługuje także dbałość o piękną oprawę plastyczną tanich nakładów masowych („Biblioteka Nowego Czytelnika”, „Biblioteka Prasy”).

Nie ustępuje „Czytelnikowi” w wyścigu plastycznym Państwowy Instytut Wydawniczy. Specjalnie udanymi osiągnięciami PIW-u są jego wydania klasyków polskich i obcych. Szkoda tylko, że PIW zbyt rzadko stosuje twardą oprawę. Przy wydawnictwach klasycznych taka oprawa powinna być regułą.

Duże i skuteczne wysiłki w kierunku podwyższenia poziomu plastycznego swych książek czyni Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Niestety, wyglądowi książek MON-u szkodzi ich złe wykończenie introligatorskie.

Bardzo rozmaicie przedstawiają się sprawy plastyki w dziedzinie literatury dla młodzieży.

„Nasza Księgarnia” potrafi wydawać książki wypracowane tak pięknie, jak ostatnie tomy Brzechwy, czy „Soso” Bobińskiej. Ale czasem potrafi także zaskoczyć czytelnika zupełnym brakiem smaku plastycznego. Wydawnictwo „Iskry” przechodzi dopiero przez okres rekrucki, więc nie można się dziwić, że poziom plastyczny jego książek jest tak samo niewyrównany jak rekrucki siennik. Ciężką winą obydwu wydawnictw jest to, że nie udało im się dotychczas wychować dobrych ilustratorów książek dla młodzieży, dla młodzieży — nie dla dzieci!

W każdym razie, już tych kilka uwag dowodzi, że o stronie plastycznej książek pisać warto i należy.



Bez przerwy postępują badania w laboratoriach Zakładów. Na zdjęciu próba laboratoryjna nowego produktu.

krewni, potomkowie i spadkobiercy korzystać będą w przeciągu 66 lat z pełnych praw i nieograniczonej swobody prowadzenia dowolnych poszukiwań w głębi ziemi na terenie państwa perskiego, przy czym wszelkie wydobyte przezeń kopaliny pozostają bezsporną jego własnością”.

Za ten „firman” szach otrzymuje 200.000 franków i cieszy się jak dziecko, że nabił niewiernego gajura w butelkę. A William D'Arcy? Ten zaczyna bez pardonu pracować na ziemi perskiej. Nic. D'Arcy modli się w nocy gorąco, a w dzień rozbebesza ziemię. Nic! Pusto. Sucho. Całe złoto Mount Morgan zostaje utopione w pustych dołach po wierceniach. D'Arcy siada na statek i jedzie do Nowego Jorku.

Na statku zbliża się do skromnego, cichego księdza. Ksiądz rozpacza: oto nie może prowadzić misjonarskiego dzieła w Persji. Nie może nawracać tam ludzi na wiarę Chrystusa. Szach na tym punkcie jest nad wyraz stanowczy. Można by ewentualnie pójść w przebraniu, ale jak zyskać prawo swobodnego poruszania się? Jak?

D'Arcy zastanawia się i opowiada o swoim „firmacie”. Gdyby tak misjonarze w przebraniu inżynierów, jego krewnych, przyjaciół, o których wspomina giejt, mogli pójść do perskiego ludu i nauczać? Ksiądz składa dłonie i wznosi oczy ku niebu. „Synu, czy nie oddasz przysługi Kościołowi Świętemu?” William D'Arcy jest człowiekiem pobożnym: oddaje tę przysługę i list.

W Londynie, do gmachu Intelligence Service wchodzi młody, elegancki mężczyzna. Z twarzy nadzwyczaj przypomina nam misjonarza, który jechał statkiem. „Halo Reilly!” — witają go druhowie. Szef pyta: „I jak się powiodła komedia z przebraniem za księdza?” W odpowiedzi Sidney Reilly*) składa przywilej D'Arcy'ego. Przywilej kupuje Admiralicja Brytyjska, potem Deterding. Ten nie traci czasu. Ma nieco więcej pieniędzy od D'Arcy'ego: może sobie pozwolić na dłuższe wiercenia. Posyła ludzi do Persji, tworzy „Anglo-Persian Oil Company” i w 1901 roku w okolicy Szustaru, 160 kilometrów od Mohammery, tryska ropa perska, o którą do dzisiejszego dnia walczy na śmierć i życie Anglia ze Stanami Zjednoczonymi. Ścisłej — „Standard Oil of New Jersey” i „Royal Dutch Shell”. Wówczas — wrażliwy na muzykę Rockefeller i ślizgający się Deterding.

Wtedy jednocześnie ropa zyskuje na wartości. Wyrabia się z niej benzyna.

*) Sidney Reilly. Tenże — znany z książki Sayersa i Khana „Wielki spisek przeciwko ZSRR” — organizował na rzecz wywiadu angielskiego interwencję.

Dalszy ciąg nastąpi



Deterding, prezes wielkiego trustu naftowego „Royal-Dutch-Shell”, główny konkurent Rockefellera



Rockefeller, do roku 1887 prezes koncernu „Standard Oil” i Co.

KARPACZ

ZMOTORYZOWANY

EDWARD KOSTRZYCO

Zdjęcia: B. KOSZEWSKI

ROJNO i „sportowo” było w ciągu ostatnich tygodni w Karpaczu. Mistrzostwa narciarskie juniorek, zawody bobslejowe, no i wreszcie motocykle: pierwsza eliminacja do patrolowych mistrzostw Polski.

Motocykle w zimie...? Przecież to nie sezon! Otóż właśnie o to chodzi, aby zerwać z dotychczasową sezonowością w sporcie motorowym, który (w formie imprez raidowych) doskonale nadaje się do uprawiania przez „okrągły” rok.

Dotychczas można było prawie na palcach policzyć motocyklistów jeżdżących bez względu na pogodę. Obecnie, co jest w głównej mierze zasługą organizatora raidów patrolowych — Sekcji Motorowej Centralnego Klubu LPZ, na starcie raidu w Karpaczu stanęło 150 zawodników z całej Polski, to znaczy tylu, ilu startuje w raidach organizowanych latem.

Pogoda dopisała. Wspaniałe górskie słońce sprawiało, że nie

czuło się prawie piętnastostopniowego mrozu. Śniegu było mało. Szosy, często zupełnie suche, odcinały się czarnymi pasmami od skrających się w słońcu pól i lasów. Lecz suche szosy zmieniały się często w niebezpieczne i podstępne pułapki: zza zakrętu wylaniał się czasem biały, gładki jak szklanka, odcinek gołoledzi. I tutaj nie pomagały już żadne hamulce lub umiejętności. Kto zagapił się choć na chwilę i wjechał „gazem” na lód, miał dużo szczęścia, jeśli skończyło się tylko na przewróceniu. Ostre serpentyny, ciągłe wzniesienia i spadki zmuszały zawodników do stałego napięcia uwagi.

Jesteśmy właśnie na jednym z punktów kontroli czasu. Najjeżdża patrol. Niestety, nie cały. Przybyło tylko dwóch zawodników. Oczekują na swego kolegę, z niecierpliwością patrząc na zegarki. Jeśli nie nadjedzie w ciągu dwóch minut, cały patrol otrzyma punkty karne. W raidzie patrolowym nie jest bowiem klasyfikowany pojedynczy zawodnik, lecz drużyna, składająca się z trzech motocyklistów.

Żeby zwyciężyć w raidzie nie wystarczy dobrze jeździć na motocyklu — trzeba także doskonale strzelać. Każdy niecelny strzał — to jeden punkt karny dla patrolu. Pamiętają o tym raidowcy z LPZ, których widzimy właśnie na strzelnicy

Dowódca czekającego patrolu denerwuje się coraz bardziej. — Gdzie jest trzeci zawodnik? A może trzeba było zostać i pomóc mu w naprawie uszkodzenia, czy też po prostu przyciągnąć go na linie?

Gdzieś zza lasu dobiega nagle jak gdyby brzęk komara. Odgłos ten w miarę zbliżania rośnie i coraz bardziej upodabnia się do dźwięku silnika pracującego na maksymalnych obrotach. Oczekiwany zawodnik! Już go widać. Ostro wchodzi w zakręt, wpada w poślizg na oblodzonej szosie, lecz podpierając się nogą, skręca silnie kierownicę i wyprowadza motocykl z poślizgu. Zdążył! Jeszcze kilkanaście sekund, a patrol otrzymałby jeden punkt karny za każdą minutę spóźnienia.

Po drodze zawodnicy muszą wykonać różne zadania. Nadjeżdżamy właśnie szosą i widzimy przy wiadukcie kilka stojących motocykli i zawodników szukających czegoś pilnie. To jedno z zadań, jakie muszą wykonać patroli. Trzeba odnaleźć i opisać wmurowaną na wiadukcie tablicę.

Jest! Kilkanaście słów opisu i można jechać dalej. Ale na szukanie tablicy patrol stracił około 7 minut. Teraz należy je nadrobić.

Trzy postacie pochylone nad motocyklami szybko nikną za zakrętem.

Trafić granatem w koło o średnicy 3 m z odległości 20 m — to nie jest łatwa sprawa. Toteż najlepiej dają tu sobie radę wojskowi. Właśnie rzuca dowódca patrolu Nr 54 WKS „Lotnik”, Leszek Szubert. Szeroki zamach i granat dalekim łukiem pada w sam środek koła. Na 5 rzutów 5 trafnych. Wynik doskonały! Jedziemy dalej.

Na strzelnicy ruch. Wszystkie stanowiska są obsadzone, a na swoją kolej strzelania czeka grupa zawodników głośno komentując dotychczasowy przebieg raidu.

Trzeba oddać 15 strzałów do maleńkiej sylwetki z odległości 50 m. Po pięć strzałów z każdej pozycji: leżącej, klęczącej i stojącej.

I tu triumfują wojskowi. Patrol CWKS, późniejszy zwycięzca raidu w kategorii 250 cm, ma największą ilość trafnych strzałów.

Najwięcej widzów zgromadziło się wzdłuż kilku „odcinków obserwacyjnych”, które zawodnicy powinni przejechać stylowo, bez podparcia się, przewrócenia lub zatrzymania. Śliski podjazd pod górę, w wąskim krętym wąwozie przejechało „na czysto” niewiele tylko zawodników. Lepiej poszło na odcinku zjazdowym, gdzie prawdziwy popłoch wśród widzów wywołał przejazd Aliny Marszałkówny z „babskiego” patrolu LPZ. Przejechała ona odcinek w takim tempie, że nawet doświadczeni zawodnicy orzekli, iż trzeba mieć dużo szczęścia, aby wyjść cało z takiej przygody.

A w poniedziałek, już po zakończeniu raidu, grupa zawodników pojechała na spacer. Część dojechała motocyklami do „Samotni”, część dotarła jeszcze wyżej, do „Strzechy Akademickiej”, a dwóch najwytrwalszych (na jednej „Jawie”) dobrnęło aż do stóp Śnieżki, wzbudzając podziw i zazdrość narciarzy.

Podczas całego raidu nikt się nie przeziębił, nikt nie zachorował i zanotowano tylko jedno lekkie odmrożenie. A mówią, że zima to nie pora do jazdy motocyklem!

Drobna naprawa na trasie. Trasa raidu przebiegała często przez gęste lasy: trzeba było borykać się z zaspami śniegu.





Buszyński w roli Koszkin



Gorczyńska (Panowa) i Milecki (Jarowoj) — „biali” oraz Małynicz (Jarowaja), która urasta na świadomą rewolucjonistkę

WIELKA SZTUKA WIELKIEJ REWOLUCJI

AUGUST GRODZICKI

Zdjęcia: COPA

Najwyższe napięcie dramatyczne w „Lubow Jarowaja” rozładowały sceny pełne humoru. Oto jedna z nich z Dzwonkowskim jako Szwandią (na drugim planie)



KONSTANTY TRENIEW miał już dobrze po czterdziestce, kiedy napisał „Lubow Jarowaja” jako swą drugą sztukę w okresie porewolucyjnym. Był już wtedy pisarzem — a także dziennikarzem — znanym i czytelnym. W swej poprzedniej twórczości bliższy był postępowi, ale nie doszedł do pozycji socjalizmu. Dopiero w latach dwudziestych — jak wielu innych najwybitniejszych pisarzy rosyjskich jego pokolenia — zrozumiał wielkość spraw dziejących się w jego ojczyźnie i dał się porwać ideom rewolucyjnym. Dzięki temu przeżył nową młodość w swej twórczości patrząc na młodość rozwijającego się wokół niego życia i ukazując ją w swoich utworach.

Może dlatego w obrazie rewolucji przedstawionym w „Lubow Jarowaja” czuje się takie radosne upojenie młodością nowego świata. A przecież jest w tej sztuce tyle łez i krwi, grozy i nędzy, męki i okrucieństwa! Jednakże autor potrafił nie tylko ukazać w straszliwych zmaganiach rewolucji z ginącym ustrojem jej wielkość, ale i spojrzeć na nią z radością i uśmiechem. Treniew patrzy na rewolucję niemal tak jak jedna z najpysznějších postaci sztuki — młody marynarz Szwandia. Ten prawdziwy syn ludu, z niego wywodzący niewyczerpane zasoby siły, zdrowego rozsądku i humoru, każdą sytuację ocenia z punktu widzenia swego „uświadczenia” politycznego. Choć potraktowane jest ono nie bez żartobliwości i nie opiera się na jakichś wyuczonych podstawach, zawsze trafia w sedno dzięki instynktownemu i nieomylnemu wyczuciu klasowemu tego kipiącego życia rewolucjonisty. Patrzycen na świat z pogodą i ufnością, ma już bowiem przed oczyma przyszłe szczęśliwe życie, które wyrośnie z naddludzkich trudów rewolucji. Nic dziwnego więc, że w zakończeniu sztuki widzimy szeroko roześmianą twarz Szwandii, który rozwija czerwony sztandar nie tylko wysoko nad zdobytym miastem, ale — jak powiada — „w skali światowej”.

„Lubow Jarowaja” dała początek — wraz ze „Sztormem” Billa-Biełocerkowskiego — szeregowi dzieł wielkiej radzieckiej klasycznej teatralnej łączącej głęboki realizm w przedstawieniu surowej prawdy rewolucji z romantycznym poletem. Była nowatorska nie tylko w treści, ale i w formie. Nawiązując do tradycji dramaturgii rosyjskiej, która nie trzymała się ustalonych kanonów i stwarzała nowe, jeżeli to było konieczne, Treniew nie zawahał się przed użyciem środków epickich w teatrze. Oczywiście z punktu widzenia „klasycznej” poetyki można by wiele zarzucić zwartości tej sztuki. Mnóstwo postaci, wątków i scen o różnych zabarwieniach artystycznych i uczuciowych kłębi się w tym pozornie luźno skomponowanym bogactwie. W rzeczywistości jednak wszystko to układa się w jeden wszechstronny obraz rewolucji pokazany na przykładzie dziejów małego miasta przechodzącego z rąk do rąk czerwonych i białych.

Jedność sztuki tkwi nie tylko w jedności tego obrazu, ale i w postaci rewolucyjnego komisarza Koszkin, którego działanie jest motorem całej akcji. Jego nieustanna obecność — choć na scenie widzimy go rzadko — czuje się stale. On wpływa bezpośrednio lub pośrednio na losy wszystkich występujących osób i na tok dziejących się wypadków. Równocześnie poprzez jego postać ukazana jest decydująca i kierująca rola partii, która w ten sposób staje się właściwym bohaterem sztuki. Warto zwrócić uwagę na tę wyuczalność obecności partii, mimo że się o niej tak niewiele mówi i mimo że nie pokazuje się ani jednego...zebrania. W toczącej się u nas dyskusji o tym jak przedstawiać rolę partii w utworach literackich, a w szczególności dramatycznych, jest to bardzo pouczające.

„Lubow Jarowaja” nie byłaby ciągle wzruszającym widzą arcydziełem teatralnym gdyby dawała tylko mało widowisk historyczne, czy choćby nawet tylko prawdę o dziejowych procesach społecznych. Ta sztuka daje przede wszystkim prawdę o ludziach, w których procesy te się zalamują. Przecież nosi ona tytuł, który jest imieniem i nazwiskiem jednej z jej bohaterek. Lubow Jarowaja, szlachetna, głęboko uczciwa „bezpartyjna bolszewiczka” urasta stopniowo na niezłomną, świadomą rewolucjonistkę, choć łączy się to z jej osobistą tragedią rodzinną. Musi stracić miłość dla swego ukochanego męża i zamienić ją w nienawiść, skoro on okazuje się wrogiem jej ideałów, okrutnym i coraz podlegszym słudze kontrrewolucji upajającym się frazesami, którym rzeczywistość zadaje kłam.

Problemy etyczne, jakie stwarza rewolucja, odbijają się nie tylko w duszach tych dwóch postaci. W jakiś sposób przejawiają się one we wszystkich występujących osobach barówno po jednej jak i po drugiej stronie barykady, jak również tych, które są „po środku” i nie znalazły jeszcze drogi do nowego świata czują wstręt do dawnego. Nie wolno jest też od ciężkich zmagani wewnętrznych sam Koszkin, który rozstrzeliwuje starego przyjaciela za to, że ten stał się złodziejem i rabusem. Twarde prawa rewolucji obowiązują! Choć wyrzuca ona na wierzch niejednokrotnie śmiecie ludzkie, w ostatecznym rezultacie zmiata je z powierzchni życia.

A obóz białych? Mamy tu dużą, bardzo zróżnicowaną galerię postaci. Wszystkie one przearte są zgnilizną. Ich moralność to moralność spekulantów, carskich policjantów i ludzi przegranych, pragnących za wszelką cenę utrzymać lub przywrócić swoje przywileje majątkowe czy rodowe. Wszyscy oni są najzupełniej obcy narodowi rosyjskiemu i dlatego uciekają przed nim. Pokazanie mechanizmu tej obcości białogwardystów i ich sympatyków, a równocześnie prawdziwego patriotyzmu i przywiązania do ziemi ojczyznej mas ludowych — to także jedna z wielu niepowtarzalnych wartości sztuki Treniewa.

Przedstawienia „Lubow Jarowaja” w Teatrze Małym w r. 1926 i w MCHACIE w dziesięć lat potem były wielkimi wydarzeniami w życiu teatralnym Moskwy i całego Związku Radzieckiego. MCHAT przedstawił to pokazał w r. 1937 na wystawie międzynarodowej w Paryżu, gdzie wywołało ono ogólny zachwyt. W Polsce „Lubow Jarowaja” znana jest z przedstawień w Jeleniej Górze, Poznaniu i Krakowie. Krakowskie przedstawienie w inscenizacji i reżyserii Bronisława Dąbrowskiego uzyskało pierwszą nagrodę na festiwalu sztuk radzieckich.

Obecnie Dąbrowski powtórzył tę inscenizację w Teatrze Polskim w Warszawie w pięknych dekoracjach Andrzeja Stopki. Jest to przedstawienie bardzo barwne i efektowne. Operuje dobrze tłumami. Wydobywa właściwy nastrój rewolucji. Przy tym wszystkim jednak nie dość wyraźnie i czysto prowadzi ono poszczególne wątki sztuki i nie we wszystkich rolach znajduje trafnych wykonawców. Wśród nich piękną robotę aktorską pokazali: Zofia Małynicz (Lubow Jarowaja), Maria Gorczyńska (Panowa), Gustaw Buszyński (Koszkin), Mieczysław Milecki (Jarowoj) i jeszcze kilku odtwórców mniejszych ról, których program wymienia ponad pięćdziesięciu, nie licząc statystów.

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

KLUB „DOMU KSIĄŻKI”



Jeden z wieczorów dyskusyjnych w Klubie

Staraniem „Domu Książki” w lutym otwarto w Poznaniu pierwszy w Polsce Klub „Domu Książki”.

Zadaniem tego Klubu jest fachowa pomoc dla kolporterów w ich pracy nad upowszechnieniem książki oraz udzielanie szczegółowych informacji czytelnikom o wydawnictwach starych i nowych.

Na terenie Klubu zorganizowano „Piątki literackie”. Na pierwszym wieczorze literat poznański, Bolesław Kogut, mówił o zadaniach współczesnej literatury na wsi i odczytał fragmenty no-

wej powieści pt. „Zawieja”. Dla ociemniałych urządzane są specjalne wieczory lektorskie.

Wieczory i spotkania uroczyste będą występami artystycznymi w wykonaniu najlepszych aktorów.

O wszystkich imprezach w Klubie informują czytelników komunikaty prasowe i przez radio oraz afisze, rozmieszczane w księgarniach „Domu Książki”.

Wstęp do Klubu ma każdy, kto tylko interesuje się książką.

Zdzisław Lewicki, Poznań

ZNOWU ZABŁĄKANY ORZEŁ

Wielkiego orla, zwanego przednim, głód i chłód zagnały z dalekich Tatr na teren gospodarstwa rybne w Chrościełowie. Znalazł go gajowy A. Kratka, a zaopiekował się nim leśniczy T. Brodziak. Orzeł szybko odzyskał siły i obecnie przebywa w Świętokrzyskim Parku Naro-

dowym. Wiosną, gdy się ociepli, będzie wypuszczony na wolność.

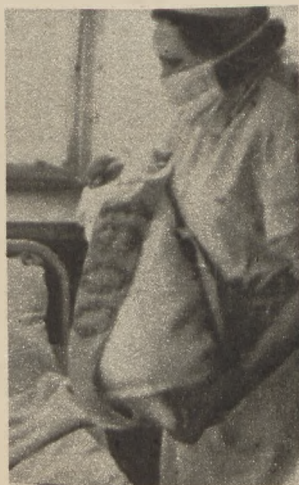
Długość tułowia znalezione go orla wynosi 84 cm, a rozpiętość skrzydeł 205 cm.

A. Majewska, Radom

Fot. Z. Mielczarek



TYSIĄCZNE DZIECKO NOWEJ HUTY



Malgosia Jucha, córka pracownika Huty im. Lenina, przyszła na świat 21 lutego br. jako tysięczne dziecko Nowej Huty. Pierwszym dzieckiem Nowej Huty jest urodzony w dniu 26 maja 1951 r. Władzio Surma. Niemal trzyletni już chłopczyk każdego tygodnia przebywa w żłobku, gdzie czuje się doskonale. Na niedzielę zabiera go mamusia do domu.

Zarówno pierwszego nowohutezanina, jak i Malgosię przyjmowała wykwalifikowana położna Regina Cecuga, kierowniczka Izby Porodowej w Nowej Hucie.

Franciszek Walczak, Kraków

Gdy Malgosia będzie starsza, mamusia pokaże jej to zdjęcie i wytłumaczy, co oznacza liczbę 1000 na jej poduszeczce

ZAMEK W LUBLINIE — OGNISKIEM KULTURY

Historia tego zabytkowego zamku sięga odległych czasów piastowskich. Pierwotnie zamek zbudowany był całkowicie z drzewa i dopiero za czasów Kazimierza Wielkiego

przekształcił się w piękną, murowaną rezydencję, w której chętnie zatrzymywali się liczni królowie. Tu też w końcu XV wieku przebywał Jan Długosz, ucząc synów



Zamek królewski w Lublinie już wkrótce odzyska swoją dawną, piękną szatę

TEATR „ŚWIATA” NA SCENIE W ŻNINIE

Zespół artystyczny Kółka Polonistycznego przy liceum im. Śniadeckich w Żninie wystąpił przed miejscową widownią z montażem satyryczno-humorystycznym pt. „Groch z kapustą, czyli dwie godziny humoru”.

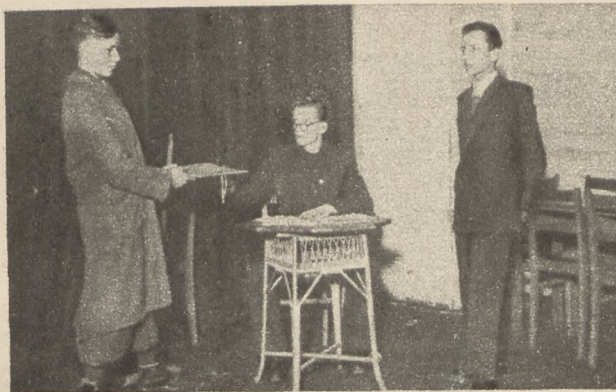
Na program, obok piosenek i recytacji, złożyły się dwie scenki satyryczne z „Teatru Świata” pt. „Szczury” Z. Kaszkura i „Bez kumoterstwa” B. Brzezińskiego oraz inscenizacje felietonów J. Szeląga, S. Grodzkiej i J.

Minkiewicza, wodewil Juran-dota oraz monolog A. Słonimskiego „Emigranci”. Satyrę XIX wieku reprezentowały utwory Kraszewskiego i Rod-dicia.

Autorem żywej i dowcipnej konferansjerki był również jeden z uczniów Liceum — J. Resiak.

Dwa przedstawienia przy wypełnionej sali oraz żywe oklaski, jakimi publiczność nagradzała młodzież, świadczą, że impreza była udana.

Janusz Ksiński, Żnin



„Szczury” Z. Kaszkura w wykonaniu uczniów XI lę.: Jurkiewicz, Zielińskiego i Łososia

DWIE WAŻNE ROCZNICE

W dniu 21 lutego społeczeństwo województwa olsztyńskiego obchodziło równocześnie dwie uroczystości: 36 rocznicę powstania Armii Radzieckiej oraz 9 rocznicę wyzwolenia przez tę Armię ziem warmińsko-mazurskiej.

W dniu tym odsłonięto w

Olsztynie Pomnik Wdzięczności dla tych, którzy własnym życiem okupili naszą wolność. W uroczystości tej, mimo silnych mrozów, wzięły udział tysiące mieszkańców Olsztyna i liczne delegacje z całego województwa.

Bolesław Gaweł, Olsztyn



Pomnik Wdzięczności w Olsztynie odsłonięty w dniu 21 lutego br.

Kazimierza Jagiellończyka i tu zbierał materiały do swej słynnej kroniki.

W XIX wieku zamek popadł w ruinę. Za czasów Królestwa Kongresowego przebudowano go w stylu neogotyckim i zamieniono na więzienie. Nie tknięto jedynie dawnej kaplicy zamkowej, ze względu na wielką wartość znajdujących się w niej arcydzieł cerkiewno-bizantyjskiej sztuki malarskiej. Kaplica ta stanowi cenny zabytek budownictwa gotyckiego w Polsce.

Zamek królewski w Lublinie odzyska dawną stylową szatę i już w tym roku stanie się ogniskiem życia kulturalnego miasta. W jego starych

komnatach znajdą pomieszczenie muzeum. Dom Kultury i szereg takich placówek kulturalnych, jak Związek Plastyków, PTTK, PTF i inne.

W 10 rocznicę wyzwolenia, w dniu 22 lipca br., otwarta tu będzie wystawa osiągnięć Polski Ludowej.

Dziedziniec zamkowy jest przystosowany do imprez na wolnym powietrzu. Z dziedzińca zamkowego rozciąga się rozległy widok na stałe jeszcze rozbudowujący się Lublin, na Stare Miasto, Fabrykę Samochodów Ciężarowych i nowe dzielnice mieszkaniowe

M. Turski, Lublin

MICZURINOWCY W SP



Junacy pilnie uczęszczają na zajęcia kółka miczurinowskiego

Przy szkołach i świetlicach, przy Domach Kultury i brygadach SP, tworzą się wciąż nowe kółka, popularyzujące osiągnięcia ruchu miczurinowskiego wśród dorosłych i młodzieży. Szczególnie żywo rozwija się ten ruch w SP. Wystarczy powiedzieć, że na terenie województwa krakowskiego przy hufcach SP istnieją w tej chwili już ponad 133 takie kółka.

Junacy pilnie uczęszczają

na zajęcia kółek, bo gdy na wiosnę powrócą do swych gromad, zdobytymi doświadczeniami dzielić się będą ze starszymi gospodarzami. Wówczas skrzynki z ziemią, służące im dziś do praktycznych zajęć, zamienią na poletki, na których prowadzić będą wraz z gromadą ciekawe doświadczenia.

A. Mirecki, Bochnia

Fot.: W. Kozioł

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

PERSPEKTYWA

Każdy obiektyw, bez względu na jego ogniskową, jeśli fotografujemy z tego samego miejsca, daje nam obraz jednakowy pod względem perspektywicznym. To znaczy, że linia horyzontu będzie identycznie umiejscowiona, wielkość przedmiotów bliższych w stosunku do dalszych będzie proporcjonalnie taka sama, linie boczne fotografowanych przedmiotów będą zbiegały się w tym samym punkcie. Gdybyśmy wzięli powiększający odpowiedni wycinek zdjęcia dokonanego obiektywem szerokokątnym, otrzymalibyśmy identyczny obraz, co i teleobiektywem.

Odtwarzanie perspektywy przez obiektyw, zależne jest więc tylko od odległości między aparatem a fotografowanym przedmiotem i od wysokości ustawienia aparatu. Rozróżniamy też zdjęcia z perspektywy „zbieżnej” — gdy aparat spogląda okiem żaby, tuż przy samej ziemi, i zdjęcia z perspektywy „ptasiej” — aparat umieszczony wysoko nad głowami (zdjęcia lotnicze). Umiejętne wykorzystanie tych możliwości perspektywicznych daje nam nieraz bardzo silne podkreślenie zamierzonych efektów. Np. zdjęcie z perspektywy „zbieżnej” mocno wysmukla figurę stojącej osoby, przy fotografowaniu skoków — potęguje wrażenie wzniesienia się nad ziemię skaczącej osoby, gdyż mamy tu obniżenie linii horyzontu.

Fotografując z tego samego miejsca obiektywami o różnych ogniskowych, otrzymujemy obraz o różnej skali: obiektyw szerokokątny pomieści w ramach negatywu dużo przedmiotów o małych rozmiarach, teleobiektyw zaś da nam tylko część tego obrazu, lecz w skali znacznie większej.

ODPOWIEDZI

C. Safian, i B. Kaczor, Warszawa — Zarówki błyskowe pojawiają się dość nieregularnie w handlu użytkowym, w sklepach ze sprzętem fotograficznym i przybarami elektro-technicznymi. Chwilowo brak ich w sprzedaży.

M. Nowicki, Orzysz. — Dokładny opis sposobu barwienia pozytywów papierowych podany jest w ostatnio wydanym podręczniku fotograficznym. D. Bunimowicza pt. „Praktyczna fotografia”. Na kolor wiśniowo-brunatny można tonować powiększenia przez kąpiel we wzmacniaczu miedziowym, który znajduje się w handlu w rurkach szklanych na 200 cm sześciennych płynu roboczego.

A. Budzicki, Zielina — W sprawie zakupu wydawnictw z zakresu fotografii, wydawanych w NRD, radzimy zwrócić się do dyrektora Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, Warszawa, Bagatela 14.

Z. Łabza, Koźmin. — „Fata morgana” jest zjawiskiem fizycznym, polegającym na specjalnym załamaniu i odbiciu promieni świetlnych. Wspomniane w liście „cuda” istnieją tylko w imaginacji owej osoby i jako nierealne sfotografowane być nie mogą.

NOSIŁ WILK RAZY

Napisał: MICHAŁ SUMIŃSKI
Fot. W. PRAŻUCH

W LESIE znajdowano ślady zbójceckich, nocnych libacji — ogryzione kości, strzępy skór, ślady krwi...

Wilki od dawna grasowały w okolicy.

Były jednak nieuchwytnie, lotne, diabelnie chytne i — nieomal jak duchy — nie dawały się osaczyć.

Codziennie tropiciel na małych jednokonných saneczkach przemierzał dziesiątki kilometrów leśnych dróg i przesmyków w poszukiwaniu wilczego tropu. Nieraz aż do wieczora pędził za świeżym śladem. Dotychczas jednak nie udało mu się zgonić niestrudzonej w marszu wilczej watahy.

Dziś wreszcie jadąc za śladem leśnymi drogami opisał wielkie koło i nigdzie nie przeciał wyjściowego tropu. Tutaj więc zaległa wataha.

Pozostało najtrudniejsze zadanie — ofladrować wilki — a więc otoczyć je nieprzerwanym pierścieniem sznurów z powiewającymi barwnymi szmatkami. Wilczy „zabobon” bowiem nie pozwala im przekroczyć tej dziwnej dla nich i niepokojącej przeszkody.

Na całej kilkukilometrowej długości fladry muszą utworzyć równą poziomą barierę na wysokości wilczych oczu. Wystarczy mała nieuwaga, zbyt nisko lub zbyt wysoko zawieszony sznur i cały trud idzie na marne. Takimi właśnie miejscami wymyka się większość źle ofladrowanych wilków.

Przed wyruszeniem do lasu narada w leśniczówce. Pochyleni nad mapą myśliwi wyznaczają linię stanowisk

Otoczone nieprzekraczalnym dla nich kręgiem fladr, naciskane nagonką, wilki kluczyły po ostępie. Z jednej tylko strony sznury nie zagrażały drogi na wolność, tam gdzie zrobiono „bramę”. Tędy ruszyły bure drapieżniki.



Mróz dotkliwie szczypie twarz. Brwi i rzesy pokrywa biały szron. Brzegiem linii oddziałowej cicho posuwają

Gdy wreszcie zamknął się barwny krąg wokół wilczego stada, tropiciel z nadleśnictwa Strzałowo zameldował powiatowemu komisarzowi do zwalczania plagi wilków, że zamknął w sznurach na terenie leśnictwa Lisiny 8 drapieżników.

Teraz nie wolno stracić ani chwili. Polowanie musi rozpocząć się następnego dnia.

Telefon zaalarmował myśliwych. Na miejscu zorganizowano nagonkę. Przygotowano sanie.

Przed wyruszeniem do lasu tropiciel jeszcze raz objechał linię fladr. Wilcze tropy wzdłuż wewnętrznej linii sznurów wskazywały wyraźnie, że uwięzione wilki przez noc krążyły po ostępie — żaden nie uszedł.

Pewni już swego myśliwi w milczeniu jadą na stanowiska. Za nimi suną sanie wiozące nagonkę — robotników leśnych i ochotników z wczasowego ośrodka bojowego w Mikołajkach.

Teraz każdy krok jest przemyślany. Wszyscy zajmują stanowiska.

Gdzieś daleko padł cichy, stłumiony świeżą okiścią strzał — sygnał, że nagonka ruszyła.

Chwile wielkiego napięcia. Cisza dzwoni w uszach.

Nagle... Dwa ostre strzały na lewym skrzydle. Znowu jeden i jeszcze jeden.

W olszowym poszyciu coś drgnęło. Bury cień wilka przemyka się ostrożnie między drzewami. Bliżej, coraz bliżej, teraz...

Emocja jest tak silna, że własnego strzału nie słyszy się prawie wcale. Jest! Jest!

Strzały były celne — padły cztery wilki...

* * *

W czasie mroźnej i śnieżnej zimy wilcze watahy suną w kierunku cieplejszych stref w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy i żeru.

Na nowe tereny ciągną wilki dwoma głównymi szlakami. Jeden z nich prowadzi u podnóża Karpat. Idące tędy wilcze „zagony” sięgają aż za Wrocław w bory sudeckie. Północny „wielki szlak” prowadzi poprzez puszcę Augustowską, dalej przez kraj wielkich jezior mazurskich w puszcę Piską, i na zachód kraju, aż po bory Tucholskie i w puszcę Międzychodzka.

Nie zajmowałibyśmy się problemem około półtora tysiąca wilków, tyle ich bowiem notują leśnicy (metoda obliczania: patrz felieton Wiecha pt. „Remanent w lesie”), gdyby nie wyjątkowa drapieżność i nienasycony apetyt wilczego plemienia. Według przybliżonych danych wilki pożarły w roku 1952 ponad 2 tysiące sztuk różnego rodzaju zwierzyny: jeleni, dzików, saren, zajęcy. Ofiarą wilków padł nawet jeden żubr, który nieostrożnie opuścił rezerwat w Pszczynie. Wilki wyrządziły także poważne szkody w inwentarzu gospodarzy wiejskich, mordując ponad 1300 owiec, krów, koni, gęsi. Na Podhalu wilki nie oszczędziły nawet swoich bliskich krewnych — psów. Mordowały je często w ich własnych budach, pozostawiając gospodarzom na pamiętkę tylko łańcuch i obrozę.

Wypowiedzieliśmy wilkom bezwzględna walkę. Państwo przeznaczyło na ten cel poważne kredyty, zwłaszcza dla okręgów szczególnie dotkniętych wilczą plagą w ólśostockim, rzeszowskim, lubelskim, olsztyńskim, krakowskim, a nawet w północno-wschodnich powiatach woj. warszawskiego. Przy radach narodowych powołano wojewódzkich i powiatowych komisarzy do zwalczania plagi wilków, zaangażowano doświadczonych tropicieli. Wyprodukowano kilkaset kilometrów tzw. fladr, niezbędnych przy polowaniach na wilki.

W roku ubiegłym odstrzelono ich ponad 100. Zniszczono również kilkadziesiąt wilczych gniazd. W roku bieżącym — jak wynika z dotychczasowych meldunków — padło około 200. Można więc przypuszczać, że w ciągu najbliższych kilku lat liczba wilków zostanie zredukowana do kilkadziesiąt sztuk. Wtedy wrócą one do swej właściwej roli w przyrodzie — „czynnika sanitarnego”, usuwającego z łowisk szlaki chore i słabe, bezwartościowe, a nawet szkodliwe z punktu widzenia racjonalnej hodowli.



KILKA ...



się fladrujący. Tajemniczy krąg zaciska się wokół wilczego stada. Zatrzyma on je do przybycia myśliwych



Nosił wilk razy kilka... ponieśli i wilka. Tak rzeczywistość jeszcze raz potwierdziła słusność ludowych gadek.

Z takim przeciwnikiem nikt nie chce się spotkać. Futro kryje stalowe mięśnie najgroźniejszego u nas drapieżnika



SWIAT

o tym wie!

PANTALEJMON PRZY PRACY



W Madrycie odbyło się ostatnio niecodzienne widowisko: chrzest córki... cara Wszechrosji. Obrzędu dokonał pop Pantalejmon, nadając córce wielkiego księcia Włodzimierza (p.o. cara Wszechrosji — obecnie panuje najmiłośniej we własnym mieszkanku w Madrycie) i wielkiej księżny Leonidy — imię Maria. Matką chrzestną była caryca(!) Bułgarii, a ojcem chrzestnym — książe Mikołaj Rumuński (na zdjęciu drugi od prawej).

Węsząc darmową wyżerkę z okazji podniosłej ceremonii, zważyło się też mnóstwo książątek niemieckich pod przewodnictwem Ludwika Ferdynanda Pruskiego i jego żony Kiri. która jest siostrą wspomnianej Leonidy. Skoro tylko pop Pantalejmon skończył swoje obrzędy, mała wielka księżniczka Maria została (bez wyjęcia z pieluch) odznaczona Wielką Wstęgą Orderu Katarzyny z Diamentami.

Nie wiemy, czy wzruszonej wysokim odznaczeniem Marii nie trzeba było przewinąć — ale repor-

ter zachodnio-niemieckiego tygodnika „Der Stern“ snuje na jej temat melancholijne rozważania: „Nie wie ona, że byłaby dziś córką cara Wszechrosji, że wychowywałaby się w wielkim petersburskim pałacu i że miałaby zabawki ze szczerzego złota — gdyby tylko nie było Związku Radzieckiego!“ Baaa...

Fotomontaż ten dokonany został przez redakcję zachodnio-niemieckiego dziennika „Sueddeutsche Zeitung“. Nawet więc w burżuazyjno-konserwatywnych kołach, których organem jest „Sueddeutsche Zeitung“, jasno widzą podobieństwo między polityką Adenauera a polityką Adolfa Hitlera. Publikując zdjęcie, na którym do postaci Hitlera wmontowano głowę Adenauera, prasa zachodnio-niemiecka wyraźnie przyznaje, że Hitler znalazł godnego następcę w kanclerzu z Bonn.

SZCZYT AMERYKAŃSKIEJ KULTURY

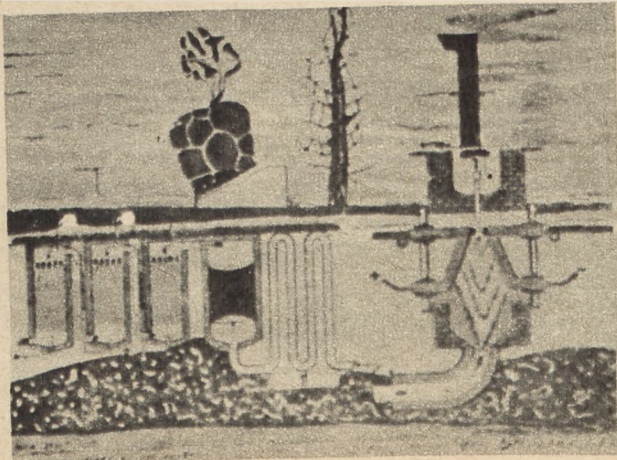
Małżeńska para, Dorothea Tanning i Max Ernst (dokładny adres — Sedona, stan Arizona, USA) zaliczani są do najwybitniejszych malarzy amerykańskich. Straszliwe bohomazy i rzeźby Ernsta świadczą — jak pisze prasa nowojorska — „o osiągnięciu przez niego szczytu kultury malarzkiej“.

Na czym polegają te „szczyty“ amerykańskiej kultury malarzkiej pokazuje poniższy obraz Ernsta zatytułowany „Kraj obraz zimowy“. Autor zaopatrzył swoje dzieło do-

datkowym napisem: „Zagazowanie wulkanicznej narzeczonej żelaza dla uzyskania koniecznej ciepłoty w łóżku“ (!!).

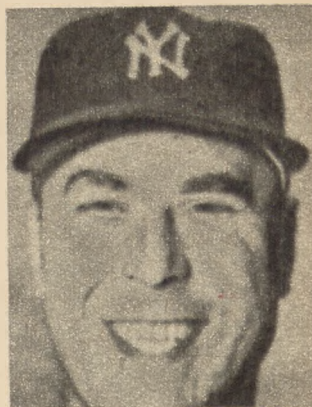
Od 33 lat krytycy zachodni prześcigają się w zachwytach nad tym „arcydziełem“. Dyrektor muzeum w Celle, dr Pretzell, nazwał Ernsta „odkrywca uczuć“, które niszczone są przez przerosł racjonalnego myślenia przyczynowego i zaskorupiałe kanony formalne“ (!!).

I wszystko byłoby dobrze, krytycy zachodni na-



Ile wart jest piłkarz w Ameryce? Ceny bywają różne, w każdym razie dadzą się zawsze dokładnie określić w dolarach. Oto historia jednego z najpopularniejszych piłkarzy amerykańskich Vic Raschi, grającego dotychczas w szeregach mistrzowskiej drużyny nowojorskiej „Yankesów“. Dla wyjaśnienia dodajmy, że chodzi tu o narodowy sport amerykański baseball (piłka metowa).

Raschi brał udział w 170 spotkaniach i przyczynił się do 120 zwycięstw swej drużyny, która dzięki niemu zdobyła pięciokrotnie tytuł mistrza świata w baseballu. Właściciele drużyny (bo trzeba wiedzieć, że drużyny baseballowe w USA są własnością prywatnych koncernów) doszli jednak ostatnio do wniosku, że Raschi zarabia zbyt dużo i postanowili obniżyć mu pensję. Gdy piłkarz odmówił zgody na obniżkę, właściciele drużyny porozumieili się z konkurencyjną drużyną „Kardynałów“ w St. Louis i ubili



interes: Raschi został sprzedany do St. Louis za 75.000 dolarów. Nabywcy zobowiązali się dodatkowo dostarczyć sprzedawcom dwóch graczy pośredniej klasy w późniejszym terminie.

Transakcja została zawarta i Raschi w myśl obowiązującego go kontraktu musiał ją zaakceptować. Może się jedynie pocieszać myślą, że sprzedany został przez nowocześniejszych handlarzy niewolników za cenę tak wysoką, jak żaden inny piłkarz w ostatnich czasach

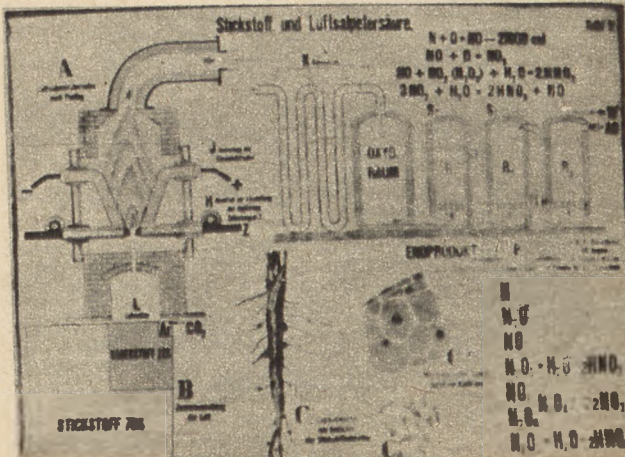
GODNY NASTĘPCA



Dorothea Tanning, Max Ernst i jego „arcydzieło“ o „skromnej“ nazwie „Byk“

dal zachwycaliby się „arcydziełem“, a słowa „mistrza“ roslaby proporcjonalnie do jego majątku, gdyby nie psota grupy berlińskich uczniów. „Dla kawału“ odwrócili oni wiszący w muzeum obraz Ernsta i ze zdumieniem zauważyli, iż jest kropka w kropkę podobny do wiszącego w ich klasie schematu, przedstawiającego... proces produkcji kwasu azotowego.

Czytelnikom, którzy nie wierzą — radzimy popatrzyć na stronę odwrotną.



Pozwólcie, że się Wam przedstawię, Drodzy Czytelnicy. Jestem Syrenka. Warszawską Syrenkę. Właściwie znamy się od dawna i ta ceremonia byłaby zbyteczna, ale przecież nie mogłam tak od razu, prosto z mostu, zaprosić Was na przechadzkę. A właśnie to mam na myśli. Bo widzicie, pasjami lubię spacerować po mieście, patrzeć, podglądać, chwytając życie na tzw. gorącym uczynku. Tak samo zresztą jak Wy. I tak samo, jak Wy, czasami uśmiecham się radośnie, czasami kłnę na czymś świat (nie mylić z naszym kochanym tygodnikiem) stoi, czasem jak bóbri płacze.



Ot, dziś na przykład. Zachciało mi się bułeczki. Wchodzę do Wucsesu, zbliżam się do lady, oglądam chieby irogale, aż tu widzę, na szybie wisi ogłoszenie:

„Za pieczywo czerstwe uważa się:
a) chleb lęczycki, lubelski, zakopiański, pieczywo pszenne 200 gr. — po 24 godzinach;
b) chleb żytni, natęczowski, sandomierski i pieczywo pszenne powyżej 200 gr. — po 36 godzinach;
c) chleb wiejski, żytni 82% (sitkowy), łódzki — po 48 godzinach;
d) chleb razowy, razowiec, graham, starogracki (!) — po 96 godzinach!”

Jak myślicie, Kochani Czytelnicy, po ilu godzinach od chwili wypiecenia powyższego elaboratu autor takowego powinien być uważany za... czerstwego biurokrata? Ja myślę, że już po jednej. A może nie on winien? Ale w takim razie, czemu wysokie władze piekarniane pozwalają produkować podobne głupstwa rozsyłać do sklepów? I dlaczego, dlaczego, dlaczego przez takich czerstwomózgich osobników warszawiacy mają jeść stare, suche pieczywo?

Długo czas przeżuwałam to ciężkostrawne ogłoszenie. Na poprawę humoru nie



wpływała bynajmniej perspektywa czekającej mnie przejażdżki tramwajem. Szczegółów nie muszę Wam opowiadać. Wystarczy tyle: godzina 16, kierunek Mokotów. Któż z Was tego nie zna! Po iluś tam kwadransach marznięcie u dało mi się wreszcie zdobyć szturmem stopień „osiemnastki”. I kłóży przypuszczał, że tu, w tym paskudnym warszawskim maglu, czeka mnie radość. A było tak. Na pomoście stali żołnierze. Jeden z nich

miał przewieszony przez ramię automat. Gdy fala pchających się „winogron” przyniotła żołnierza, kolba automatu niebezpiecznie zazgrzytała o szybę.

— Ojej, polec! — powiedziała jakaś pani i położyła rękę między szybą a kolbę.

— Wariatka jakaś — odezwał się z kąta złośliwy sopranik — po co się pani wystawiasz, jak nie każą, rękawiczka się porwie. Cholerę panią obchodzi, czy polec. Pani szyba, czy co?

— Moja — powiedziała cicho pierwsza. — I pani też, chociaż pani, zdaje się, tego nie rozumie. Załuję, że nie mogłam jej dla Was sfotografować, ale wysiadła na najbliższym przystanku. Wieczorem, w doskonałym humorze, wybrałam się do „Ludowego” na „Chorego z urojenia”. Czasu było sporo. Zdążyć jeszcze — myślę — przeczytać program. Książką okiem na kartę tytułową i, Kochani Wy moi, rumienię się ze wstydu. Czar-

no na białym, tak jak to widzicie, stoi: J. B. Molier. Ki czort to wymyślił? O tym, że „w cywilu” Molier nazywał się Jean - Baptiste Poquelin, uczono nas jeszcze w szkole. Pseudonim „Molier” przybrał sobie w roku 1643, gdy rozpoczął karierę komedianta, po to, by nie... kompromitować ojca, tapicera królewskiego. Zawód aktorski był w tych czasach mało szanowany, a Kościół ekskomunikował aktorów. O tym autora programu zapewne również uczono w szkole. Gdyby zaś bliżej zainteresował się życiem Moliera, dowiedziałby się, że w jego metryce figuruje tylko imię Jean. Dopiero, gdy państwu Poquelin urodził się młodszy syn, którego obdarzyli tym samym imieniem, starszego, dla odróżnienia, zaczęto nazywać Jean-Baptiste. Nazwiska „Jean-Baptiste Molier” nie znajdziecie ani w historii literatury, ani w żadnym zbiorowym wydaniu dzieł Moliera, ani w żadnym programie teatralnym prócz... wyżej wymienionego.

Ktoś tam chciał dowiedzieć swej wielkiej uczoności, a dowiódł... nieuctwa. Biedny Molier! Nie ma szczęścia do „Chorego z urojenia”. Umarł grając w tej sztuce. Jako, że dwa razy umrzeć nie można, tym razem zapewne tylko przewrócił się w grobie.

Alem się rozgadała. Obiecuję Wam, że to się więcej nie powtórzy, że to tylko tak na pierwszy raz. Na następną przechadzkę po Warszawie Was zapraszam, Drodzy Czytelnicy, i Wam głos oddaję. Czy to będzie spacer niedzielny, czy codzienna droga z domu do pracy, wyprawa po zakupy, czy pośpieszny truchcik na umówione spotkanie, miejcie oczy i uszy otwarte, patrzcie, obserwujcie i... piszcie do mnie. O tym, co Was raduje, smuci, oburza, śmieszy. Jeśli obiekt Waszego spostrzeżenia uwiecznicie na fotografii, tym lepiej, jeśli nie, zrobię to za Was.

A gdy mnie spytacie — po co to wszystko? — odpowiem: po to, by od któregoś tam numeru „Świata” Syrenka Warszawska miała już tylko uśmiech na twarzy.

„Chorego z urojenia” — to jest jedna z najwspanialszych oper w historii muzyki. Z tym wszystkim wytrzymałabym nerwowo i milcząco, gdyby: a) „Zaczarowany flet” nie był jedną z najwspanialszych oper świata, skomponowaną przez największego — obok Bacha — geniusza muzycznego, jakim był Mozart. b) „Przekrój” nie był tak bardzo popularnym piśmem w naszym kraju. — W rezultacie bowiem owych dwóch zbieżności może dojść do tego, że w Polsce wszyscy o wszystkim będą wiedzieli, co trzeba, a tylko o muzyce wszystko na wywrót, na czym zarobi

CHORY Z UROJENIA
J. B. MOLIER
R. LUDOWY

„Orbis”. Mianowicie, będzie mógł organizować wyścigi melomanów z całego świata, którzy będą zjeżdżali np. do Warszawy i zadawali ludzom podstawowe pytania na tematy muzyczne. Otrzymałbyś dziwaczne odpowiedzi, melomani ci wracając będą do domów, roznosząc o nas opinie najzabawniejszego kraju pod słońcem.

„Przekrój” ma specjalnego przedstawiciela od spraw muzycznych, który często rozmawia z różnymi sławnymi muzykami. Niechby więc, zamiast mówić o głupstwach, pogadał z nimi trochę o muzyce, a wówczas może w końcu czegoś by się nauczyli.

Nie chodzi o cuda! Nikt nie wymaga, żeby „Przekrój” był tak obkuty w muzykę, jak np. ciocia Lissa, lecz niechaj wie chociaż tyle, ile ja

ODSZCZURZYĆ... MOZARTA

Kochany Panie Redaktorze! Już też kochany „Przekrój” nie ma szczęścia do muzyki. Co się jej tknie, to strzela byka! Długo starałam się wytrzymać nerwowo, ale gdy doszło do gryzoniów futerkowych zatałamałam się i oto pi-

szę: W numerze 464 „Przekrój” wydrukował „Zgadywanke operową” polegającą na tym, żeby się domyślić, jak np. nazywa się opera, której bohaterka popielnia harakiri? — Oczywiście zaraz się domyśliłam, że to chodzi o „Madame Butterfly” Pucciniego. I wszystko byłoby aż do końca w porządku, gdyby nie ostatnie pytanie: jak nazywa się opera, w której bohater wyprocedował z miasta szczury? — na co, zdaniem „Przekroju”, należało odpowiedzieć: „Zaczarowany flet” Mozarta. „Zaczarowany flet” ma libretto ciekawe, lecz niezwykle

skomplikowane, jak przystało na ostatnią operę barokową, a zarazem pierwszą romantyczną. W librecie tym jest wiele różnych dziwnych wątków, ale — kłnę się na kontrafagot! — nikt nie wyprocedował ze sceny ani jednego szczura, czy choćby tylko zwykłej myszy. Istnieje stara niemiecka legenda o szczurapię, który gro na fletcie wywodził z miast szczury i topił w najbliższych wodach, a raz pewnego — nie zapłacony — przez zemstę wyprocedował z miasta i potopił dzieci. Legendy owa wszakże jest z zupełnie innej parafii.

Treść, a nawet muzyka „Zaczarowanego fletu” Mozarta zawiera w kilku miejscach aluzje do symboliki: modnego podówczas wolnomularstwa, więc od biedy „Przekrój” mógłby zapytać: jak się nazywa opera, w której jest mowa o niezorganizowanych pra-

comnikach budowlanych? — na tej zasadzie żądać odpowiedzi „Zaczarowany flet” Mozarta. Aliszi i to nie było by najtrafniejsze i w sumie „Przekrój” postąpił tak, jak gdyby spytał: która opera zajmuje się moczeniem bielejny damskiej? — i domagał się odpowiedzi: „Halka” Moniuszki.

Z tym wszystkim wytrzymałabym nerwowo i milcząco, gdyby: a) „Zaczarowany flet” nie był jedną z najwspanialszych oper świata, skomponowaną przez największego — obok Bacha — geniusza muzycznego, jakim był Mozart. b) „Przekrój” nie był tak bardzo popularnym piśmem w naszym kraju. — W rezultacie bowiem owych dwóch zbieżności może dojść do tego, że w Polsce wszyscy o wszystkim będą wiedzieli, co trzeba, a tylko o muzyce wszystko na wywrót, na czym zarobi

„Orbis”. Mianowicie, będzie mógł organizować wyścigi melomanów z całego świata, którzy będą zjeżdżali np. do Warszawy i zadawali ludzom podstawowe pytania na tematy muzyczne. Otrzymałbyś dziwaczne odpowiedzi, melomani ci wracając będą do domów, roznosząc o nas opinie najzabawniejszego kraju pod słońcem.

„Przekrój” ma specjalnego przedstawiciela od spraw muzycznych, który często rozmawia z różnymi sławnymi muzykami. Niechby więc, zamiast mówić o głupstwach, pogadał z nimi trochę o muzyce, a wówczas może w końcu czegoś by się nauczyli.

Nie chodzi o cuda! Nikt nie wymaga, żeby „Przekrój” był tak obkuty w muzykę, jak np. ciocia Lissa, lecz niechaj wie chociaż tyle, ile ja

CIOCIA FICIA

NAJLEPSZE AUDYCJE W RADIO

Kierownictwo Polskiego Radia oceniając program z ubiegłego roku postanowiło wyróżnić następujące audycje, jako najlepsze w tym okresie:

W dziale muzycznym — cykl „Muzyka Polskiego Odrodzenia”, w opracowaniu prof. dr. Z. Lissa, prof. dr. J. Chomińskiego, prof. dr. H. Felchta i mgr. K. Wilkowskiej, oraz cykl audycji pt. „Słowniczek muzyczny” Jerzego Waldorffa, który jest zarazem redaktorem działu muzycznego tygodnika „Świat”.

W dziale literackim — słuchowisko pt. „Rosenbergowie” M. Komorowskiej i St. Ziembickiego, w reżyserii M. Mellny.

W dziale dziecięcym — słuchowisko „Kaprys królowej Marysieńki” H. Januszewskiej, w reżyserii W. Tatarkiewicza, z muzyką W. Lutosławskiego.

W dziale audycji masowych — słuchowisko pt. „Tor wolny” R. Sadowskiego.

Metoda takich wyróżnień jest podwójnie korzystna. Daje zasłużoną satysfakcję wyróżnionym, a jednocześnie zachęca resztę współpracowników Radia do pracy tym lepszej, że przyświecać jej będzie nadzieja wyróżnienia w następnym, kolejnym okresie.

„ŚWIAT”

nasze gospodarstwo

Chcecie przerobić stary sweter?

PLAMY... PLAMY...

Trzeba go spruć, wełnę zwinąć w pasma — najlepiej na oparciu dwóch krzeseł. Przewiązać je w kilku miejscach, aby się wełna nie spletała. Wyprać w ciepłych mydlnach wygniatając, spłukać kilka razy w ciepłej wodzie, do ostatniego płukania dodać octu. Po wysuszeniu przetrzymać parę minut nad parą, aby przywrócić wełnie połysk. Po wysuszeniu zwinąć luźno w kłębek.

...z kawy — zwinąć mieszkankę: 1 łyżeczka gliceryny, 1 łyżeczka wody, kilka kropel amoniaku. Kiedy plama zblednie zwinąć jeszcze raz, gdy zniknie zmyć ciepłą wodą.

...z czerwonego wina na obrusie — zaraz posypać solą. Zasznużać lub zastarażać — zwinąć kilkakrotnie 1% roztworem chlorku, potem spłukać ciepłą wodą.

...z atramentu — namoczyć splamione miejsce kilkakrotnie — w kwaśnym mleku. Kiedy mleko przestanie się zabarwiać od atramentu — spłukać wodą.

...z tuszu — posypać talkiem, podłożyć pod spód kawałek ligniny. Zostawić tak na parę godzin, strząść talk, wycisnąć szczytką.

A przede wszystkim — ochronić ubranie. Najlepszy sposób — to zgrabny, elegancki fartuszek, niedrogi przy domowych czynnościach.

Sól w szuflce kuchennej nie zwilgotnieje jeśli wrzucimy na dno kilkanaście ziarenek ryżu, który wchłonie wilgoć.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64, Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wilejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Ekspertu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłódnokowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 132. Papier rotogr. V/80-82 cm — 5-B-11896. podpisano do druku dnia 10.III.54 r.

LENGREN



— Wypadek??...

— Nie. Mój system odzwyczajania się od palenia.

SZACHY



PARTIA NR 101

W dniu 16 marca br. rozpoczyna się w Moskwie mecz mistrzostwo świata. Przeciwnikiem Michała Botwinnika będzie tym razem zwycięzca „Turnieju kandydów”, znany arcymistrz radziecki — Wasyli Smyslow. Ponieważ zamieszczamy partię, graną między Botwinnikiem a Smyslowem w turnieju o mistrzostwo Moskwy w 1943 roku.

Białe: W. Smyslow
Czarne: M. Botwinnik

1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3 b8—c6 3. Gf1—b5 a7—a6 4. b5—a4 Sg8—f6 5. 0—0 Sf6:e4

Otwarty wariant hiszpańskiej partii prowadzący zazwyczaj do ostrych pozycji.

6. d2—d4 b7—b5 7. Ga4—b3 d7—d5 8. d4:e5 Gc8—e6 9. c2—c3

Dzisiaj często jest stosowany inny plan gry, a mianowicie 9. He2 i 10. Wd1, co umożliwia białym atakowanie centrum przeciwnika.

9... Gf8—c5

Spokojniejsze jest 9... Ge7. Czarne jednak wybierają znowu najostrzejszą kontynuację pragnąc wypróbować i nowe posunięcie.

10. Sb1—d2 0—0 11. Gb3—c2 Se4:f2?

Ciekawa nowość. Czarne za pomocą ofiary chcą uchwycić inicjatywę w swojej ręce.

12. Wf1:f2 f7—f6! 13. e5:f6 Hd8:f6 14. Hd1—f1 Ge6—g4 15. Kgl—h1.

Silniejsze było 15. Hd3 i np. 15... Hf5 16. H:f5 G:f5 17. Gb3 Wad8 18. Sf1 G:f2+ 19. K:f2 z lepszą końcówką białych.

15... Gc5:f2 16. Hf1:f2 Wa8—e8 17. Hf2—g3 Sc6—e5 18. Gc2—d1 Se5—d3 19. h2—h3 Gg4—h5 20. Gd1—c2 Sd3—f4 21. Sf3—g1!

Ażeby czarna wieża nie mogła zająć pola e2.

21... c7—c5 22. Sd2—f3 Sf4—e2 23. Sg1:e2 We8:e2 24. Gc2—d1 We2—e6 25. Gc1—d2 h7—h6 26. Kh1—h2 We6—e4.

Po tym posunięciu białe zdołają osiągnąć przewagę. Należało grać 26... Gg6.

27. Sf3—g5! h6:g5 28. Gd1:h5 We4—e5 29. Gh5—f3 Hf6—e7 30. a2—a4 Kg8—h7 31. a4:b5 a6:b5 32. Wa1—a7 He7—d6 33. Gf3—g4



Z groźbą 34. G:g5, co poprzednio nie było możliwe ze względu na 35. W:f3! 34. g:f3 We2+

33... Wf8—d8 34. Kh2—h1 d5—d4 35. c3:d4 c5:d4 36. Gd2—f4! We5—e1+

Przegrywało 36... g:f4 wobec 37. Gf5+

37. Hg3:e1 Hd6:f4 38. Wa7—d7 Wd8:d7 39. Gg1:d7 d4—d3 40. Gd7—g4 d3—d2 41. He1—e2 b5—b4 42. He2—d3+ g7—g6 43. Kh1—g1 Kh7—h6 44. b2—b3 Kh6—g7 45. Gg4—f3 Hf4—f7 46. Kgl—f2 Hf7—e6 47. Hd3—e3 He6—d6 48. Gf3—d1 Hd6—d3 49. g2—g4 Kg7—h7 50. Kf2—e2 i czarne poddały się.

Uwaga: Za tydzień ogłosimy nowy konkurs naszego działu.

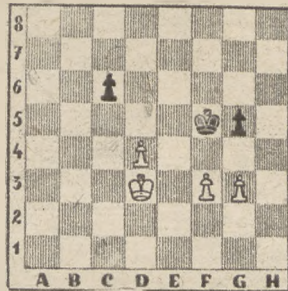
MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” — CZYTELNICY

W partii W1 wszyscy Czytelnicy zagrali oczywiście 50... Kg6:f5.

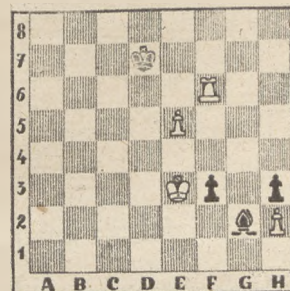
W wariantcie W200 głosy Czytelników były rozbite pomiędzy dwie odpowiedzi: 50... Ke7—d7 i 50... Gg2—h1. Zwyciężyła pierwsza z nich, uzyskując 58,7%.

Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partię naszą przedstawiają się następująco:

PARTIA W1



PARTIA W200

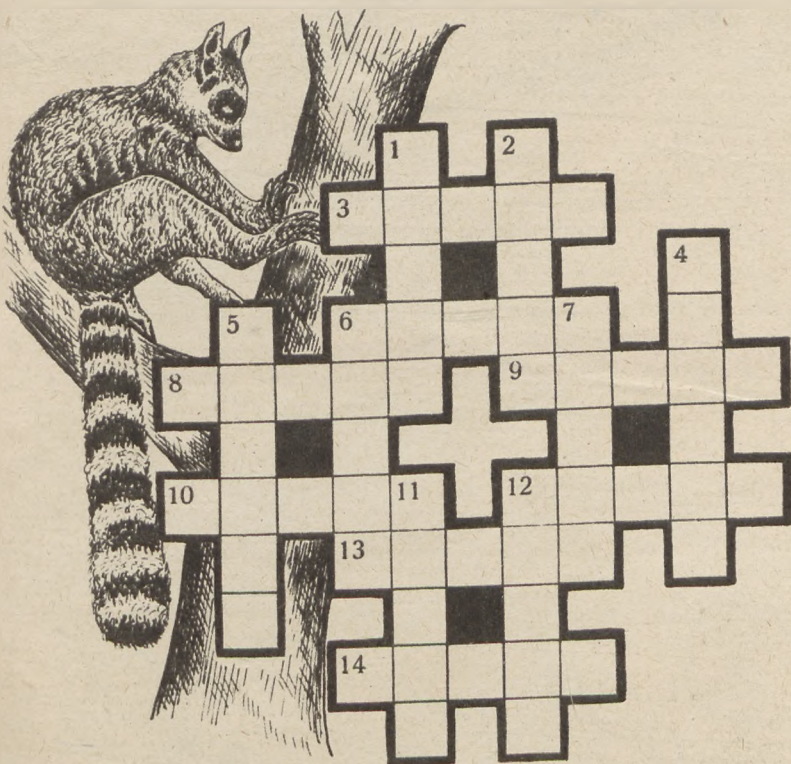


Przypominamy, że odpowiedzi na 51 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 16 marca br.

49. e4:f5+ Sd6:f5
50. Ge6:f5+ Kg6:f5
51. Ke3—d3

49. Wd6—f6 f4—f3
50. Kc3—d4 Ke7—d7
51. Kd4—f3

ROZRYWKI UMYSŁOWE



ZOO — KRZYŻÓWKA

Poziomo: 3) Pospolita ryba z rodziny karpiowatych, 6) Gatunek małpy długooogonowej z rzędu małpiatek, 8) Ptak morski z rodziny alk 9) Ssak drapieżny z rodziny kun, 10) Afrykański lis pustynny, 12) Krzykliwy ptak z rodziny krukowatych 13) Ptak brodaty, 14) Niewielki ssak drapieżny doskonale nurkujący i żywiący się zwierzętami wodnymi.

Pionowo: 1) Pospolity w Polsce niełoperz, 2) Słoń dyluwialny, 4) Ptak z rodziny słowuszek, 5) Gatunek bekasa.

6) Nocny ptak owadożerny, 7) Rączka koń, 11) Gatunek ptaka brodatego, 12) Rybka z gatunku pokrewnego sleszczom.

(„Anka” — Słupsk)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

EOGDAN BRZEZINSKI

ŚCIŚLE POUFNE

Pan kierownik wpadł do biura,
Jak tornado, jak huragan
I od razu awantura,
Ze to skandal! ze bałagan!

Pan kierownik z gniewu siny
Drżąc ręką targa włosy
I do panny Karoliny,
Która cała stoi w pasach,

Krzyczy gniewnie: — To są kpiny!
Nie ma go tu w tej szufladzie!
Proszę panny Karoliny —
Gdzie się dokumenty kładzie?!

Może w aktach?... Nie ma w aktach!
Może w szafie? Nie ma w szafie!
To doprawdy straszny fakt — ach! —
Papier tajny i służbowy!!

Ja rozumiem, że sprzątanie,
Ja rozumiem — remanenty..
Lecz to przykre niesłychanie,
Że wciąż giną dokumenty!

Woźny stoi drżący, błądy,
Płacze panna Karolina:
— Zginął list ów! Nie ma rady!
O, nieszczęsna ma godzina!

A kierownik wciąż się zżyma,
A kierownik wciąż się sroży:
— I tu nie ma, I tu nie ma... —
Wreszcie teczkę swą otworzył.

A w tej teczce jest — śniadanie.
Gdy kierownik spojrział na nie,
Rozpogodził się, jak słońce
I rzekł: — Jest!! Dzięki małżonce...

Widać więc wspomniany list ten
Zawieruszył się gdzieś u mnie
I małżonka — oczywiście! —
Chciała zuzić go rozumnie...

Ślad w tym tajnym dokumencie
Mam bułeczki dwie z kurczakiem!...

Gwałtowne ocieplenie zmusza nas do korekty zapowiedzi z numeru poprzedniego: opisu swetrów nie będziemy drukowali, lecz prześlemy listownie tym Czytelniczkom, które o nie proszą.

Nie chcemy, żeby ucierpiały inne Czytelniczki, których swetry już nie interesują.

W dzisiejszym (zmniejszonym) odcinku naszego działu pokazujemy płaszcz wiosenny (może być z wełny, flauszu, lub welwetu) oraz bardzo miłątki kostiumik („garsonkę”) pod płaszcz nieprzemakalny.



TANIO i ŁADNIE

FILATELISTYKA

Węgierskie znaczki lotnicze

6 lutego br. oddano na Węgrzech do obiegu nową serię znaczków lotniczych, z wizerunkami pospolitych na Węgrzech owadów: 40 f zielony-sepia — walczyk lipczyk; 60 f fioletowy-zółty — osa; 1,20 Ft c. zielony — sepia — świerszcz polny; 30 f pomarańczowo — brązowy — ryjko-wlec; 3.— Ft niebiesko-zielony — sepia — kaluźnica czarna; 50 f karminowy — sepia — kozioróg dębosz; 1. 50 Ft j. sepia-brązowy — rohatyniec; 2 Ft ceglasto-brązowy — jelonok; 80 f szaro-zielono-karminowy — ryjkowiec tutkarz; 1 Ft żółto-pomarańczowy-seria — tokaś z rodziny szczypawek.

Wszystkie znaczki zostały wykonane techniką rotogr-wiurów, w formacie 37x27 mm; zabkowanie — 12½x12. Z. R.





— Chodźcie dziatki, ja was wychowam na dobrych Amerykanów...

rys. K. Ferster



rys. K. Baraniecki

— „Banany“ za banany i jeszcze niezadowoleni.

Konserwy w szklanych słoikach posiadają „hermetyczne“ zamknięcia nie dające się otworzyć.



rys. K. Baraniecki

— Chyba wezwiemy jakiegoś kasiarza.



rys. J. Flisak

Referent BHP: Buty filcowe? Nie widzę potrzeby.



rys. E. Messer

— Ja się tam na pewno wśliznę.

NA KUŁACKIM PODWÓRKU



rys. K. Ferster

— Ja kułak?! Siły najemnej nie zatrudniam...

— Maciej robi u mnie z wdzięczności, bo mu dałem słomę...

...Walentowa za ziarno na siew...

...Wojciech za wypożyczenie konia...

...a Kaśka, to sierota, którą się zaopiekowałem.